ŚWIAT

REDAKCJA I ADMINISTRACJA • WARSZAWA, SZPITALNA 12



SCENA Z BALETU JOOSS

TEATR WIELKI

od 18 do 23 kwietnia 1934 r.

№ 15. DNIA 14 KWIETNIA 1934 R.

CENA 1 ZŁ.



w numerze:

„PIĘKNO I SZPETOTA"-KONKURS „ŚWIATA" z nagrodami

ŚWIAT

ZAŁOŻONY W ROKU 1906 PRZEZ STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
Nr. 15 14.IV.1934



LEON CHRZANOWSKI

SŁOWA I GESTY

Gest jest nieodłączną częścią składową każdego przemówienia. Prawdziwy mówca zespala swe słowa i gesty, które harmonizują tem silniej z treścią, im bezpośredniej i szczerzej ta treść jest przemyślana przez mówiącego. Przekonanie, że mówienie z tak zwanym „angielskim spokojem" jest szczytem oratorskiej perfekcji, dawno już minęło. Gest jest w czasie mówienia czy odczytywania najwznioślejszej mowy najniebezpieczniejszym „zdrajcą" mówcy. Często bowiem on a nie słowo odsłania ogólną kulturę mówiącego. Biada, jeśli „orator" nie wzniesie się w swym geście ponad poziom taniego szablonu pozy, jeśli będzie „mówił z rękami" zamiast podkreślić gestem, że wie, co w jego mowie jest najważniejsze.

Gest właśnie często zdradza, iż mówca odczytujący piękną mowę — nie rozumie jej istoty, że nie on ją skomponował, że jest mniej kulturalny od „swego autora". Gest szybciej zdradza plebejusza myśli i demaskuje obłudę moralisty, niż wyuczone słowo.

Widzieliśmy żywy bezpośredni gest Mussoliniego, zaciekłą gestykulację Mac Donalda — spójrzmy na mówców Francji. Na mówców tak różnych typów, jak Herriot i Briand.

Dwaj mówcy świetni, dwie antytezy gestu i mowy — Herriot i Briand, potrafili każde audytorjum trzymać na wodzy wręcz odmiennemi metodami.

Kwadratowa głowa Herriot'a, szerokie barki, pokaźna tusza, jeżowa czupryna, dobrotliwa, zwisająca fajka, głos tubalny, oto w „grubszych" linjach obraz mera Lyonu, obraz, który mógłby być portretem każdego większego marchand'a wina, jedwabiu czy automobili.

Wystarcza jednak zapoznać się z tym samym człowiekiem, gdy staje na trybunie, lub gdy chwyta pióro, aby „rozróżnić" to „niebo" myśli od jego fizycznej „ziemi".

Herriot w książce o pani Recamier nietylko jest świetnym stylistą, doskonałym pisarzem, głębokim obserwatorem, Herriot daje tam dowody subtelności niezwykłej. Subtelności wyjątkowej, na jaką może zdobyć się mężczyzna piszący o kobiecie i jej życiu najbardziej prywatnem.

Kto czytał najpierw jego prace o Beethovenie, Chopinie, Madame Recamier — a później poznał autora, ten w pierwszej chwili przeciera oczy, szepcąc do siebie: „więc ta kwadratowa bryła pękata jest takim rezerwoarem subtelności i wnikliwości artystycznej?" Arystokratyzm myśli w podobny sposób przeistacza Herriot'a, gdy staje na trybunie.

Znika wówczas człowiek ciężki, przysadzisty, o szerokich ramionach, a zjawia się artysta, którego

każde zdanie olśniewa formą najprzedniejszą. Wnioski i myśli jasne, sprecyzowane, nie gubiące się w określeniach zawiłych lub koturnowo-nieszczerych, wystrzelają ku świadomości słuchacza z tych kart *odczytywanej* mowy Herriot'a.

Tak jest: Herriot — czyta swe mowy. Ale Herriot czyta *swoje* mowy. I dlatego można wykrzyknąć z zachwytem: „Jak on czyta!"

Jest to specjalne czytanie mówcy, który mowę swoją *przemyślaną i napisaną* ma pod ręką, przed oczyma. Traktuje więc ją, jak artysta, „wczuty" w rolę odtwarzanego bohatera, jak kapelmistrz-kompozytor partyturę swojej opery. Są całe ustępy, całe strony, które wyryte są w jego umyśle wiarą w ich niezbędność tak silnie, że nie spojrzy nawet, nie opuści wzroku ku leżącym na pulpicie kartkom.

Herriot mówi — leżą przed nim kartki, o których słuchacze zapominają, nie widzą ich.

Herriot mówi — a głównym jego atutem zewnętrznym jest prostota i jasność myśli, nie objuczona ornamentyką pięknosłowia, ale uzupełniona doskonałością budowy jego zdań. Herriot mówi w najzupełniejszej prostocie gestu, którego nie nadużywa nigdy. Czasem pozornie niedbale wesprze się o trybunę, o pulpit, a wówczas temu gestowi towarzyszą słowa perswazji, nadając tej części mowy charakter przyjacielskiego, dobrodusznego przemawiania do zdrowego sensu. Czasem wyprostuje się nagle sztywno, zaplecie dłonie z trzaskiem, lub wesprze je na stole i głębokiem spojrzeniem podkreśli nagłe zamilczenie, stanowiące pauzę pełną refleksji i uwypuklenia dopiero co sformułowanej konstatacji.



...wewnętrznie trząsł się z oburzenia...

Atmosfera intellektu, atmosfera myśli twórczej, pracującej, odkrywczej otacza te przemówienia. Można się z wnioskami nie zgadzać, można polemizować z mówcą, ale trzeba uledz tej właśnie wartości twórczej autora swej mowy. Bo mowy Herriot'a należą do tych, które można, które należy czytać i które w czytaniu nie tracą nic ani z głębi, ani z treści, ani ze stylu.

...leżą przed nim kartki, o których słuchacze zapominają...



Jeden z najpiękniejszych dwugłosów politycznych, to był „duet" Herriota i Mac Donalda w Genewie w okresie projektów t. zw. Protokułu Genewskiego. Był to początek międzynarodowej karjery ówczesnych dwuch bliskich „zaprzyjaźnionych" mężów stanu. Ale kiedy materjalizm pacyfistyczny Mac Donalda przeobrażał wysmukłą, elegancką sylwetkę angielskiego premjera w warkliwego, brutalnego, despotycznie aroganckiego teoretyka — idealizm pokojowy Herriota uduchawiał jego ciężką cielesność, narzucając słuchaczom wiarę, że pierwiastki szlachetne, że walory idei nie zamarły w ludzkości, że nie dały się zdeptać.

Każdy mówca ma mowy gorsze i lepsze — ale są mówcy, którzy nawet w najsłabszych zachowują ten poziom ideowości, nakazującej wierzyć, że *jutro* ducha zwycięży „materjalność *dzisiaj*".

Do takich należą mowy Herriot'a, do takich mówców należy Herriot.

O mowach Brianda i o nim samym jako mówcy krążą setki anegdot. Briand nie plamił się mową pisaną. Więcej nawet — Briand doręczane mu i opracowane przez kancelarje „mowy pisane" zazwyczaj, jak „bon enfant", życzliwie i troskliwie wkładał do kieszeni marynarki, wchodził na trybunę i... mówił co innego.

Briand prawie zawsze improwizował — *ale zawsze wiedział, co chce powiedzieć i jaka będzie jego polityczna konkluzja.*

Mając motyw, potrafił doimprowizować doń czasem pieśń, czasem marsza tryumfalnego, czasem patetyczny finał symfonji.

Nazywano go największym wiolonczelistą — porównywując piękno i urok jego głosu z tonem wiolonczeli.

Briand znał tę swoją moc, czar głosu, który od patetycznego szep-

tu, poprzez staccata oburzenia potrafił się rozśpiewać, rozełkać najszlachetniejszym tonem, przenikającym jaźń słuchaczy i przykuwającym ich uwagę.

Polemista świetny, ironista cięty, zawsze miał na zawołanie dowcip, pchnięcie rapieru, wzruszenie swoje własne i słuchaczy, patos oburzenia i grozę Kassandry. Mógł nią zatrząść murami parlamentu i salami Ligi Narodów — mógł uzyskiwać niezliczone votum zaufania w Izbach i huragany oklasków w Genewie. A gdy już było po głosowaniu, a gdy już umilkły oklaski — deputowany lub delegat — w obu wypadkach tylko słuchacz — zapytywał sam siebie: „no dobrze, ale co on powiedział, jaka jest konsekwencja jego wniosku". A wówczas biegł do stenogramu, do mowy Brianda i często się przekonywał, że politycznie Briand nic prawie nie powiedział, bo mowy Brianda nie są do czytania. Bo zakres myśli politycznej i oratorskiej Brianda to były li-tylko walory sentymentu, argumenty dnia dzisiejszego, polemika zwężona do argumentów chwili.

Czytelnik, polityk, rozczarowywał się — ale słuchacz za dwa, trzy dni ulegał urokowi tej samej (z treści) mowy, wygłoszonej w nieco innej instrumentacji tego „vieux charmeur" gestu, tonu i ekspresji oratorskiej. Ileż razy mówiliśmy sobie po mowach Brianda: „znowu powiedział to samo". Ileż razy konstatowaliśmy, „znamy to, znamy" i jakby pod nakazem przypowiastki Jowialskiego nie mogliśmy się oprzeć, aby nie posłuchać raz jeszcze, skoro nadarzała się okazja.

Jednym z głównych motywów oratorskich Brianda była groza wojny.

Skoro mógł o takiej czy innej uchwale międzynarodowej powiedzieć, że zabezpieczyła ona pokój, lub rozprawiał się z tym czy innym mówcą, wysuwając argument, że jego wnioski mogą prowadzić ku niepokojom i wojnie, Briand był w swoim żywiole.

Nienawidził on wojny wprost fizycznie. Ten stan ducha dawał mu moc suggestji, kiedy o jej grozie mówił. Pacyfizm jego nie był wyrozumowany. To był człowiek, który miał odrazę wobec krwi i okrucieństw wojny. Dlatego gdy o niej mówił, mógł się powtarzać, nadużywał nawet tego efektu oratorskiego — ale niezaprzeczenie wewnętrznie sam trząsł się z oburzenia i dlatego potrafił tę grozę przenosić na audytorjum.

W tych momentach miał istotnie w sobie coś z proroka. Zdawało się, że w kurczowo coś obejmujących z odrazą palcach trzymał całą ohydę wojny i wznosił ją piętnując przed oczy audytorjum. Garbił się jeszcze więcej niż zazwyczaj, na twarzy ukazywał się grymas rozpaczy i wstrętu, prężył swą postać, jakby gotując się do rzutu. Głowę czasami wznosił, jak kapitan, co na swym pomoście spotyka nawałnicę i przyjmuje walkę. A głos jego grał wówczas całą pełnią swej potęgi i modulacji. Zdania o wojnie, o wdowach, o sierotach, o krwi, o rannych, kalekach, o życiu zatraconem — zdania, które nabrały już cech banalnej sentymentalności, potrafił Briand kilkakrotnie w swych mowach cytować i zawsze wywierały one wrażenię silne, a czasami wstrząsające. Słyszało się w jego słowach płacz wdów i sierot, słyszało tupot maszerujących nóg niosących nieszczęście, wzdrygało się na widok krwi, której potoki Briand w swej mowie w tragicznym szepcie przelewał.

Słyszało się, czuło grozę mordowania i mordujących się ludzi.

To była jego siła, siła suggestji i wspaniałości gestu, tonu i słowa.

W rozmowach prywatnych, w wywiadach Briand „brał" tonem dobroduszności, zdrowego rozsądku, życzliwości dla rozmówcy. Był zawsze taki nastrój, iż nigdy o nieszczerość nie można go było posądzić.

W cztery oczy rozwiązywał wszystkie konflikty prosto, rzeczowo, sprawiedliwie, polubownie i.. idealnie. W cztery oczy zwierzał się ze swych uczuć i najbardziej tajnych posunięć, które zdecydował się zrobić i których zazwyczaj później... nie czynił.

Był jednak zawsze pełen dowcipu, ciepły w tonie swych informacji i wiedział, jak sobie zdobywać sympatję a nawet zaufanie mężów stanu i dziennikarzy. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie w owe „cztery oczy" i w Rzymie i w Lokarno i w Genewie. Byłem w gronie kilkunastu publicystów, których stale co wieczór na konferencjach międzynarodowych Briand osobiście przyjmował i informował. Wszystkie te rozmowy *na dany dzień* były ciekawe, rzeczowe, zapładniające. Hołdowały one zdaniu głośno przez Brianda wypowiedzianemu: „musicie przecież odemnie wyjść, mając wszystkie elementy do napisania artykułu".

Wielki mówca potrafił być zawsze interesującym rozmówcą.

To jednak jest właściwością niemal wszystkich francuskich mężów stanu.

Moja rozmowa z Briandem na pokładzie statku w Locarno





Józef Chełmoński „Zajączek"

WACŁAW HUSARSKI

Józef Chełmoński

(1849 – 1914)

W dwudziestą rocznicę śmierci

Dnia 6 kwietnia minęło lat dwadzieścia od śmierci Józefa Chełmońskiego.

W przeciągu tego dwudziestolecia zaszła w ustosunkowaniu się naszem do autora „Racławic" dosyć wyraźna ewolucja. W późniejszym okresie życia i w pierwszych latach po śmierci był on uważany za największego bodaj, obok Matejki, malarza polskiego; dzisiaj entuzjazm ten ostygł bardzo znacznie, lub raczej, mówiąc poprostu, ustąpił miejsca obojętności: dla młodego pokolenia jest to już sława czysto muzealna.

Jeżeli zachwyt współczesnych egzaltował w twórczości Chełmońskiego przedewszystkiem pierwiastki literackie, nie wnikając głębiej w jej istotę, to również i obojętność potomnych zdaje się być rezultatem niedostatecznej oceny rzeczywistych jej wartości. Ta przy pozorach prostoty bardzo skomplikowana indywidualność artystyczna była i jest ujmowana zbyt jednostronnie.

Według przyjętej klasyfikacji należy Chełmoński do epoki pozytywistycznej; podstawową zasadą jego sztuki jest naturalizm; pozytywizm i naturalizm polski miał jednak silny jeszcze związek z romantyzmem; akcenty romantyczne brzmią też w jego dziełach bardzo wyraźnie.

Pierwsze jego obrazy, powstałe jeszcze w czasie studjów u Gersona, a zaczerpnięte z życia ludu, trzeźwością obserwacji zdradzają tendencję naturalistyczną; pomimo tej tendencji stanowią one jednak dalszy ciąg gersonowskiego romantyzmu — tylko bez gersonowskiej ckliwej nieco idealizacji.

Pobyt w Monachjum w latach 1871 — 1874, przerywany wycieczkami do kraju i na Ukrainę, oraz wyjazd do Paryża, gdzie artysta przebył od roku 1875 do 1889, ukształtowały ostatecznie jego koncepcję.

W Monachjum oddziałał na młodego malarza nieurzędowy nauczyciel całego pokolenia — Brandt; pod jego to wpływem wysuwa się w twórczości Chełmońskiego na jedno z miejsc naczelnych zagadnienie ruchu; wystarczy jednak porównać jarmarki, jazdy bałagulskie, szlichtady, oszalałe pędem trójki i czwórki Chełmońskiego, stanowiące ulubiony temat wcześniejszych jego obrazów, z dziełami Brandta, żeby zrozumieć, w jak artystyczne zjawisko zamienia się tutaj fotograficzny brandtowski impresjonizm; w jakie wartości malarsko-rysownicze przeistaczają się nieoczekiwane skróty perspektywiczne, nieuchwytną chwilę trwające nachylenia ciał człowieka i zwierzęcia, które u Brandta mają wyraźnie fotograficzną przypadkowość. W technice tych dzieł, w ich gładkiej i dokładnej fakturze, znać studja nad tak cenionymi podówczas w Monachjum Holendrami — jednakże bez naśladownictwa, bez tak znamiennego dla monachijczyków brunatnego „muzealnego" sosu; Chełmoński uczy się od Holendrów sposobu malowania, uczy się również dokładności w obserwowaniu życia — maluje jednak i obserwuje na własny sposób.

Artyzm jego dzieł wzrasta jeszcze od czasu przeniesienia się do Paryża. Ten szlagon w juchtowych butach, ten rubaszny obserwator życia, był jednocześnie subtelnym artystą, czułym na współczesne sobie prądy w sztuce; do twórczości swojej włączył też wszystkie ważniejsze zdobycze końca ubiegłego stulecia. Napozór jest w tych dziełach tylko wyjątkowa naturalistyczna sprawność wzroku i pamięci, połączona z niemniej wyjątkową siłą odczucia; w rzeczywistości pozorny ten naturalizm zawiera i efekty świetlne, tak drogie impresjonistom, i dekoracyjne ujęcie plamy barwnej, które głosili występujący podówczas na widownię styliści, i zrozumienie sztuki japońskiej, odkrytej wówczas przez Paryż, a której Chełmoński jest pierwszym bodaj w Polsce znawcą i wielbicielem, i nastrojowość, o której mówiła ówczesna szkoła symbolistyczna, —

Józef Chełmoński „Noc zimowa"



wszystko to zaś ujęte i przetrawione w sposób nawskroś swoisty, bez cienia snobizmu lub naśladownictwa.

Chełmoński był zawsze nieporównanym obserwatorem zwierząt, które stanowiły integralną część jego krajobrazów; od czasów paryskich odtwarza je ze szczególnem zamiłowaniem i zdumiewającem odczuciem; takich zwłaszcza psów i takich ptaków nie malował bodaj nikt w Europie — przed nim ani po nim; w ich ujęciu skorzystał niewątpliwie z nauki największych na świecie animalistów — Japończyków, ale z jakąż samodzielnością przyjął tę naukę! jak oryginalne i jak nawskroś polskie są pomimo wpływu japońskiego jego kuropatwy na śniegu, jego żórawie, jego tokujące cietrzewie!

Jako kolorysta lubuje się Chełmoński z okresu monachijskiego i paryskiego w efektach plamy barwnej. Wszystkie jego słynne kare konie na tle ośnieżonych równin i spokojnego zimowego nieba, takie żywe, tak nadzwyczajnie podpatrzone w ruchu, o tak świetnie oddanem bladem świetle krajobrazu, są jednocześnie rozwiązaniem tego właśnie kolorystycznego i dekoracyjnego zagadnienia.

W dziełach tych jest ponadto głębokie odczucie nastroju, i to nastroju nie tylko poetyckiego, ale i muzycznego. Jego żóraw studzienny skrzypi, potok z hukiem rwie po kamieniach, uschnięte badyle słoneczników szeleszczą na słocie i wichrze w ciemną noc jesienną, tłukąc się bezmocnie o ściany chaty.

Twórczość Chełmońskiego nie pozostaje do końca na tym poziomie, który osiągnęła w okresie monachijskim i w pierwszych latach paryskich. Ku końcowi jego tam pobytu, niewątpliwie pod wpływem nadmiernej produkcji pamięciowej, następuje obniżenie. Powrót do kraju chroni coprawda artystę od grożącej mu manjery, od tego jednak czasu wartości czysto malarskie schodzić zaczynają na plan drugi; przewagę osiągają pierwiastki naturalizmu i liryki. Wysoce niegdyś swoista kolorystyka chce być nazbyt prawdziwa w odtworzeniu barw natury. Krajobraz, który w ostatnich zwłaszcza latach życia staje się ulubionym jego rodzajem, jest przedziwnie coprawda odczuty, pełen poezji i nastroju, nie posiada już jednak dawnych zalet czysto malarskich, nie posiada dawnych wartości plamy barwnej i tonu. Właściwą miarę jego sztuki dają dzieła wcześniejsze.

JANUSZ MEISSNER

LIST Z KRAKOWA

Kraków oddycha wiosną. Nie tętni, nie dyszy, a właśnie — oddycha. Drzemie w wiosennem słońcu, napół tylko obudzony, wygrzewa w cieple stare mury i prześliczne wieże swoich kościołów, pierwszą mglistą zielonością przesłaniając planty.

Ludzie w Warszawie jeżdżą taksówkami, w Poznaniu siedzą w kawiarniach, we Lwowie spacerują, w Krakowie zaś — stoją. Dosłownie — stoją: brzegi chodników zatłoczone są rozmawiającymi, którzy przy spotkaniu zatrzymują się, załatwiają interesy, obgadują znajomych, leniwie przerzucają się słowami nad skrajem jezdni.

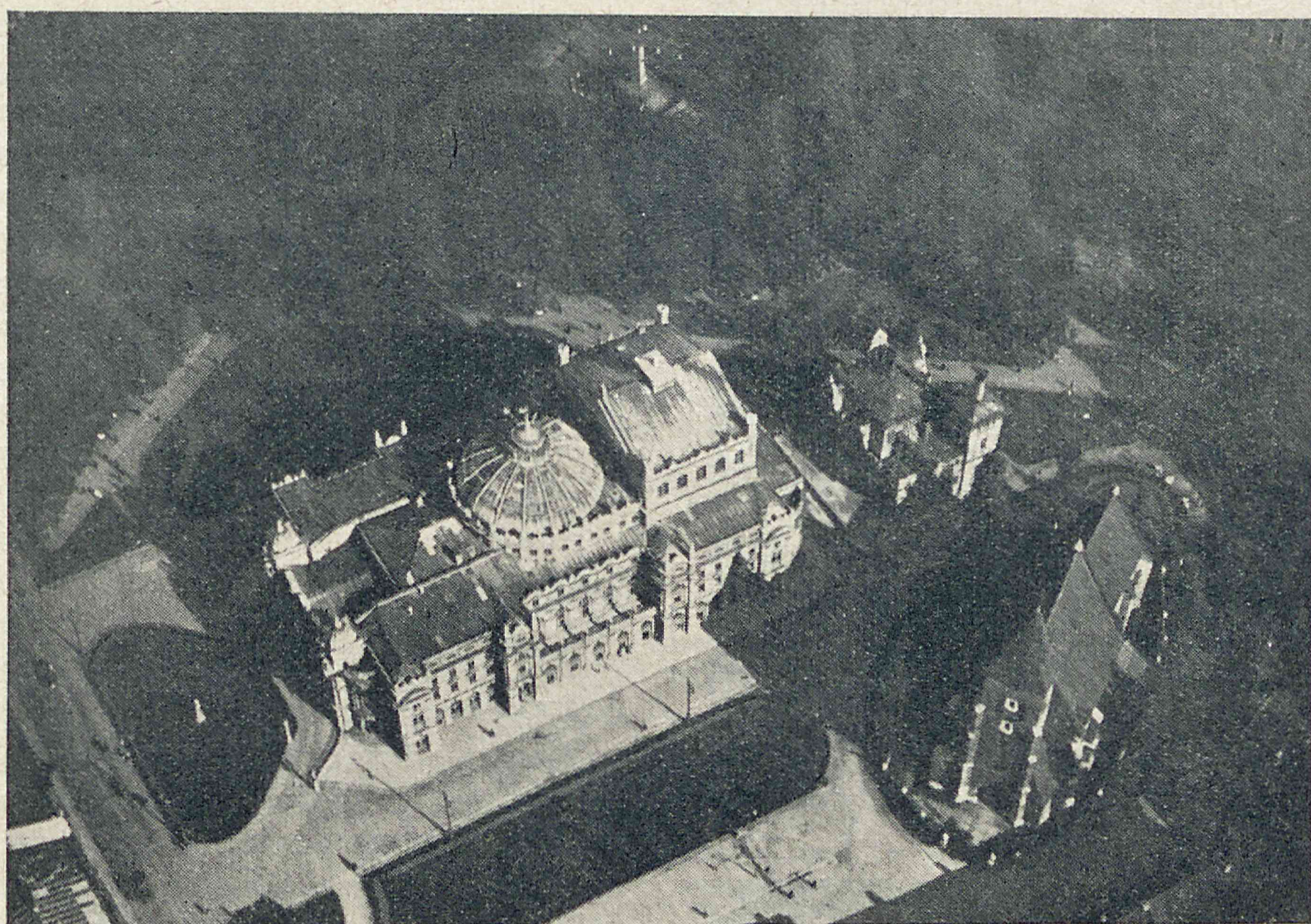
Kurzu jest wszędzie coniemiara, bo deszczu nie było już ze trzy dni, a magistrat wierzy w wilgotne przepowiednie PIM'a... To też policjanci na skrzyżowaniach ulic wyglądają, jak ciemne widma w *tumanach* pyłu. Widma drzemiące zresztą dość niefrasobliwie i tylko w ostateczności kierujące ruchem, gdy zniecierpliwiony szofer naciera na nie zbliska samochodem.

Nie ulega wątpliwości, że Kraków jest sennem miastem: wieczorem o dziesiątej ruch w nim zanika zupełnie i tylko samotrzeć świecą reprezentacyjnie reklamy neonowe: u Hawełki, w Barze Pod Ratuszem i w niedawno otwartej kawiarni Fenix.

Na plantach w cieniu kasztanów snują się zakochane, lub tylko flirtujące pary. Zresztą pusto jest wszędzie i cicho. A i te pary idą spać o pół do jedenastej...

O kasztany na plantach rozegrała się tu wielka batalja. W prasie, w kawiarniach, w magistracie — wszędzie pełno było kasztanów, bo miano je wyciąć w pień i nawet już wycięto całą aleję pod Wawelem.

Powód tej rzezi był taki, że jeden skruszały ze starości kasztan osłabł bardzo i upuścił wcale potężny konar w kawę z kremem jakiejś pani na tarasie cukierni. Za ten nietakt miały odpokutować wszystkie stare drzewa.



Kraków. Teatr miejski im. Słowackiego

Jeden bardzo uczony profesor napisał, że kasztan może żyć 80 lat i potem koniecznie trzeba go zgładzić, bo się robi niebezpieczny; drugi niemniej uczony profesor określił wiek kasztana na lat 150 i stwierdził kategorycznie, że drzewa na plantach nie mają jeszcze setki wiosen poza sobą. Zaczęła się dyskusja, wymyślano sobie trochę po dziennikach, w rozmowach podkpiwano z magistratu i jego ogrodników, a tymczasem bezrobotni piłowali co tęższe kasztany pod Wawelem.

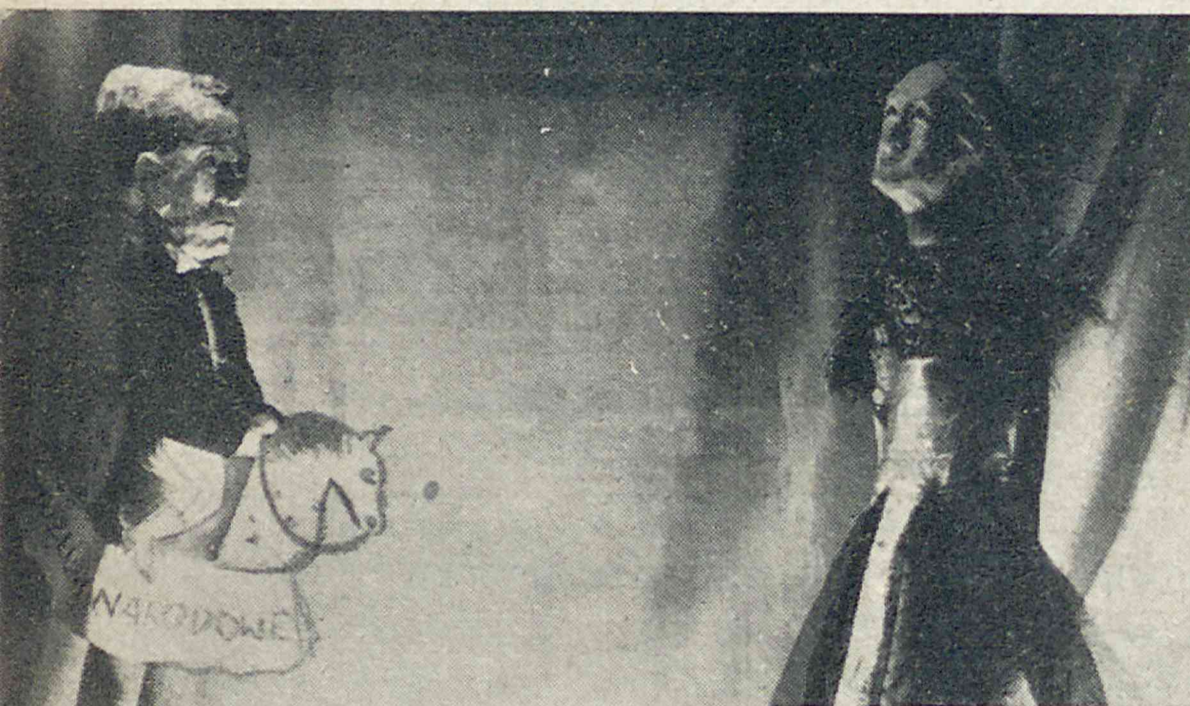
Aliści chwycił za pióro świetny feljetonista krakowski, Zygmunt Nowakowski i wyciął w Kurjerku feljeton w obronie plantów. Wyśmiał wszystkich potrosze, potem



Kiepura, smok wawelski i wąż morski



Magdalena Samozwaniec i Artur Świnarski, autorzy „Kukiełek u Hawełki"



Prez. Kaplicki i Ordonówna

Słowacki, Osterwa, Zegadłowicz



rozumnie rzecz całą wyłożył i kasztany uratował. Leczą je teraz i pomagają im żelaznemi klamrami, żeby przecież znów który gałęzi w cudzej kawie nie umaczał; pan Zygmunt zaś, nową okryty chwałą, uśmiecha się z zadowoleniem, spoglądając na ocalone drzewa, ale kawę — na wszelki wypadek — pija pod dachem, w tej kawiarni, gdzie zbiera się w południe niemal cała literatura, sztuka i krytyka Krakowa.

Kto pragnie usłyszeć cztery odmienne zdania od trzech osób o nowej sztuce teatralnej, albo o nowej książce, albo o wystawie plastyków — niech siądzie na pół godziny przy stoliku pod oknem w „Grandce", w towarzystwie jednego z dziennikarzy krakowskich. Z pewnością co dziesięć minut ktoś się tam przysiądzie. Najpierw przyjdzie krytyk teatralny i oświadczy, że zasnąwszy wczoraj na trzecim akcie historycznego dramatu, dopiero teraz się obudził. Potem, wstrząsając lwią grzywą, nadejdzie reżyser, tryumfujący i zwycięski, bo na premjerze był prawie komplet. Wreszcie przyżegluje amantka; pochwali autora, skrzywi się na reżysera, złem okiem spojrzy na krytyka i poskarży się na publiczność.

Rzadko kiedy jednak dochodzi przy stoliku pod oknem do gorącej dyskusji: ludzie zmieniają się kolejno, jak na scenie i unikają starć bezpośrednich.

Nawet po przyznaniu nagrody literackiej Rusinkowi i Gałuszce mówiono sobie nawzajem komplementy na rachunek nieobecnych. Wszyscy zresztą zgodzili się, że Rusinek wart jest nagrody; co do drugiej jej połowy, to Jasnorzewska ofiarowywała ją Morstinowi, profesor Sinko — Jasnorzewskiej, Morstin — Nowakowskiemu i t. d. Natomiast o Gałuszce, który już po raz trzeci czy czwarty nagrodę literacką zdobywa, mówią, że jest pięćdziesięcioprocentowym genjuszem. Mówią również, że o przyznaniu i podziale nagrody zdecydował wielki mag i mistyk krakowski, który tu rządzi autokratycznie w podobnych sprawach, z brewjarzem w dłoni i koroną hrabiowską na skroniach. Mówią, że Gałuszka dostał od niego pół nagrody na swoje imieniny. Mówią... — ale czego nie mówią przy stoliku pod oknem w „Grandce"?

Ostatnią sensacją podwawelskiego grodu są „Zalotnicy niebiescy" w teatrze i „Kukiełki u Hawełki".

Na premjerę „Zalotników" Jasnorzewskiej zabrakło biletów. Kraków lubi swój pułk lotniczy; Kraków uśmiecha się do każdego żółtego kołnierza na ulicy i spogląda w niebo, ilekroć zabrzęczy tam w górze silnik samolotu; Kraków zna i otacza sympatją swoich asów akrobacji powietrznej. To też świetna sztuka wielkiej poetki, żony lotnika, wywołała ogromne zainteresowanie.

Grano ją po kilku zaledwie próbach, bo teatr krakowski daje w ciągu roku 40—50 premjer. Mimo tak krótkiego czasu na przygotowanie ról, spektakl wypadł bardzo dobrze. Zwłaszcza drugi i trzeci akt stał się prawdziwym tryumfem autorki i wykonawców, w osobach pp. Zofji Jaroszewskiej, Haliny Galińskiej, Hierowskiego, Roszkowskiego, Staszewskiego, Burnatowicza, Zastrzeżyńskiego, Kondrata i świetnego Solarskiego, który zagrał najlepiej ze wszystkich. Reżyserja Nowakowskiego i dekoracje Zwolińskiego — dobre.

Krakowska szopka Magdaleny Samozwaniec i Artura Swinarskiego w pięknej Sali Tetmajerowskiej u Hawełki budzi szczere wybuchy śmiechu wśród publiczności, która za trzy złote od osoby otrzymuje nietylko bardzo dowcipne widowisko, ale również — przekąskę z wódką lub piwem i czarną kawę, albo herbatę z ciastkiem.

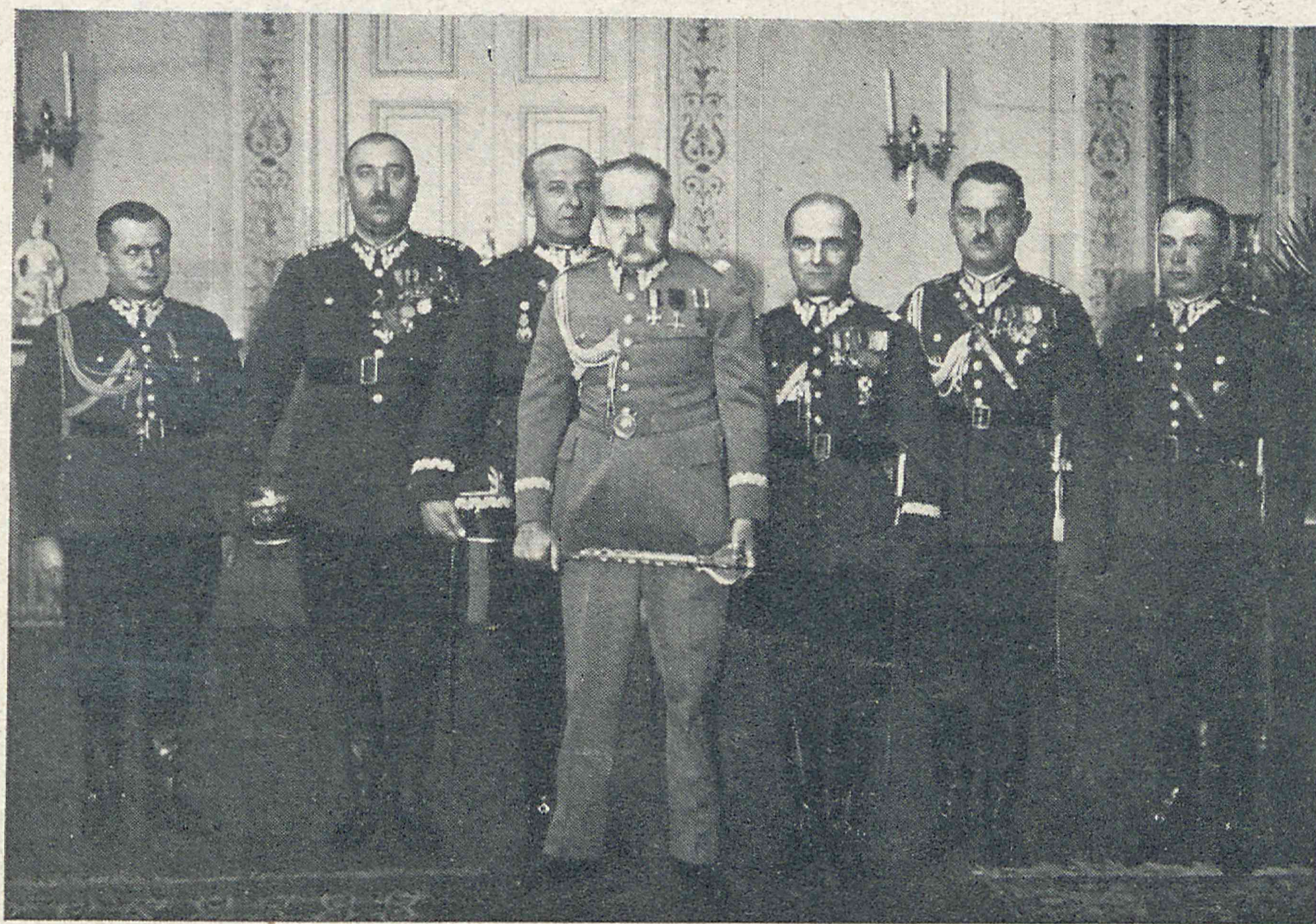
Lalki wykonane przez pana Swinarskiego są podobne do osób, które przedstawiają i bardzo zabawne. Szczególną wesołość budzą djalogi między Juljuszem Osterwą, dyrektorem teatru miejskiego, a Juljuszem Słowackim, którego imieniem ten teatr jest nazwany.

„Juljusz ci wszystko wybaczy,
Wybaczy ci nawet to,
Że wszystko robisz inaczej,
Nie tak, jak mnie o to szło"

— śpiewa wieszcz do swego imiennika. Ale, „że puste krzesła, fotele i loże — smutno mi, Boże" — skarży się trawestowanemi rymami.

Bardzo dowcipnie wyśmieli autorzy architekta Szyszko-Bohusza, który m. in. projektował „szklany dom" na Rynku Krakowskim. Dom ten rzeczywiście nie pasuje do stylowych, starych kamienic: jest nawskroś nowoczesny i przytem nieładny. Mieści się w nim właśnie dancing „Fenix" i dlatego panu Szyszko-Bohuszowi powiedziano z maleńkiej scenki u Hawełki: „Jej Bohu(sz)! Ta Szyszka ma prawdziwą idee Fenix"!

TYDZIEŃ ŚWIATA



Wręczenie buzdyganu P. Marszałkowi Piłsudskiemu od kawalerji, artylerji konnej i broni pancernej. Stoją od lewej: ppłk. Busler, płk. Piasecki, gen. Wieniawa-Długoszowski, P. Marszałek, gen. Zahorski, płk. dypl. Karcz i ppor. Smolicz, który jako najmłodszy oficer kawalerji wręczył p. Marszałkowi buzdygan, składając odpowiedni meldunek

Anglicy o podróży Barthou

(L.) Zapowiedziana wizyta francuskiego ministra spraw zagranicznych Barthou w Warszawie jest już obecnie żywo omawiana w prasie europejskiej. Obok tej podróży zainteresowanie również budzi — szczególnie w prasie angielskiej — podróż podsekretarza stanu włoskiego p. Suvicha, który w niedługim czasie udaje się do Londynu.

„Daily Telegraph", omawiając podróż Suvicha do stolicy Anglji i przypominając, że wkrótce po niej nastąpi podróż Barthou do Warszawy i Pragi, pisze: „Wizyta ta wobec paktu niemiecko-polskiego ma na celu oszczędzenie Francji utraty jej najsilniejszego sojusznika oraz osiągnięcie zbliżenia, jeśli to możliwe, Polski z Czechosłowacją. A również przedłożenie do ogólnej dyskusji sporu austro-niemieckiego i załatwienie niektórych rozbieżności między Pragą a Wiedniem i między Pragą a Rzymem. Nie trzeba bowiem zapominać, że po powrocie do Paryża Barthou ma odbyć konferencję z Titulescu, który również jest usposobiony nieprzyjaźnie do niektórych projektów polityki włoskiej w Wiedniu i Budapeszcie. Jest to bardzo dziwne — konkluduje Daily Telegraph — że podróż Barthou nie obejmuje Jugosławji, gdzie ruch na korzyść zbliżenia z Niemcami chociaż z innych powodów stał się prawie tak wyraźny, jak w Polsce. Wrogość Belgradu wobec wpływu włoskiego w Austrji i na Węgrzech jest tak silna, że pcha Jugosławję ku spoglądaniu na Berlin tylokrotnie, ilekroć Paryż ma tendencję uzgodnienia się z Rzymem".

Z tych uwag jednego z dzienników angielskich najżywiej reagujących na przejawy polityki międzynarodowej widać, iż skala możliwości, jakie przypisuje on podróżom Barthou, jest bardzo rozległa.

Akcja zgody Francji i Włoch

(L. Ch.) Powoli, niesłychanie powoli, przenika po obu stronach Alp — we Włoszech i we Francji — świadomość, iż porozumienie się i zbliżenie Francji i Włoch jest *pokojową koniecznością dziejową.*

W tej intencji od pewnego czasu z zapałem prowadzi kampanję wielki dziennik genueński „Lavoro". Zaznacza on, iż coraz liczniejsi są z obu stron ci, którzy pragną, „aby sprawy znajdujące się w zawieszeniu zostały rozstrzygnięte i żeby porozumienie bardziej ścisłe stało się rzeczywistością". To porozumienie według „Lavoro" byłoby uzupełnione poparciem Anglji i Belgji.

„Niemcy — pisze Lavoro — tworzą jednolitą masę około 63 miljonów. Wobec tej masy Włochy i Francja oddzielnie mogą przeciwstawić tylko swe 42 miljony obywateli. Zjednoczone natomiast tworzyłyby stałą równowagę sił — jedyny czynnik, który może być brany w rachubę w stosunkach z zagranicą".

Korzyści, któreby z takiego porozumienia Włochy mogły osiągnąć, dziennik włoski widzi w pokojowem załatwieniu problematu Adrjatyku i problematu morza Tyrreńskiego, które stanowią zagadnienia niebezpieczne w innym wypadku. „Francja — kończy „Lavoro" — jest krajem zbyt mądrym, aby nie zrozumieć, że nie powinna zwlekać z dokonaniem niezbędnych gestów, któreby przeistoczyły w czyn ten ideał porozumienia".

Akcja „Lavoro" genueńskiego jest znamienna. Głos ten zdecydowany i wyraźnie przychylny Francji nie jest przypadkowy. Dowodzi tego fakt, iż to nie jeden artykuł czy myśl podobna na łamach „Lavoro" została wyrażona. Jest to świadoma akcja, podjęta w dzielnicy bliskiej granicznie Francji, w najbardziej nowoczesnym i przedsiębiorczym porcie Włoch, w Genui, której mieszkańcy w całych Włoszech cieszą się opinją, iż w czynach ich przeważa zawsze rozsądek i dokładność obliczenia nad sentymentalizmem.

Pakt bałtycki

(ski) Cała prasa sowiecka z zadowoleniem konstatuje „znakomite zwycięstwo dyplomacji sowieckiej", płynące z tak szybkiego podpisania protokółów, przedłużających na dziesięć lat pakty nieagresji między krajami baltyckiemi a Sowietami. Dzienniki sowieckie podkreślają z satysfakcją, że ta inicjatywa pokojowa, zgłoszona 20 marca, już 4 kwietnia stała się ciałem. Jest to według dzienników moskiewskich dowodem wzrostu zaufania pomiędzy Sowietami a ich trzema sąsiadami nad Baltykiem.

„Izwiestja" — czyniąc na ten temat aluzje wyraźne choć nie zaadresowane do różnych zamiarów i apetytów „nazi" w stosunku do krajów baltyckich, piszą: „Estonja, Łotwa i Litwa zrozumiały wielką rolę, jaką Sowiety odgrywają w rozmowach o pokoju i obronie niepodległości krajów baltyckich. Niechże ten pakt będzie nową przestrogą dla tych, którzy w małych państwach widzą tylko instrumenty swej polityki imperjalistycznej".

Na tle kampanji, jaką prasa Moskwy często prowadziła przeciw niebezpieczeństwu propagandy ajentów hitlerowskich, przygotowujących w państwach baltyckich drogi ekspansji niemieckiej, powyższe zdania „Izwiestji" nie wymagają większej precyzji adresu.



Władysław Skoczylas

Ś. p. Władysław Skoczylas

Ubył sztuce polskiej artysta miary światowej. Trzeba to podkreślić odrazu i z naciskiem, gdyż zbyt łatwo rozdaje się u nas patenty na sławę europejską — zbyt często lokalne małości wydymane zostają usłużnością koterji do lokalnych wielkości, pełnych złudzeń co do rozgłosu zagranicą. Kto stykał się przez szereg lat z naszą propagandą artystyczną zagranicą, ten wie, ile wysiłków kosztuje każda przychylna wzmianka, każda choćby zdawkowo życzliwa recenzja uzyskana w prasie zragranicznej.

Tych trudności nie spotykała nigdy sztuka Skoczylasa. Przed jego znakomitemi dziełami graficznemi zatrzymywali się na wszechświatowych wystawach w Rzymie, Florencji, Wenecji czy Paryżu zarówno znawcy sztuki, jak laicy, zarówno głowy koronowane, jak szare masy. Sztuka jego silna, męska, technicznie doskonała, jaśniała mocą wewnętrzną i urokiem polskości, była przykładem najszlachetniej pojętej sztuki narodowej. Sztuka Skoczylasa nie zniżała się do poziomu mas, nie szukała łatwego rozgłosu przez schlebianie gustom tłumów—a mimo to rozgłos i uznanie znajdowała wszędzie, bo talent tej miary nigdzie nie przechodzi niepostrzeżony.

Poza wspomnieniem wielkich zalet osobistych jako człowiek, organizator i artysta, zostawił Skoczylas po sobie dzieło wielkiej miary: młodą grafikę polską, która, rzec można bez przesady, wywodzi się cała od niego. Sukcesy niepodrabiane, żywe i szczere, jakie w ostatnich latach odnosiła grafika nasza na wystawach zagranicznych — są jego przeważnie zasługą. Nawet ci, którzy nie z jego szkoły wyszli, wiele mu zawdzięczają duchowo i technicznie. Do miana wielkiego artysty dołączyć należy miano twórcy polskiej grafiki współczesnej.

Kiedy urządzał przed paru laty we Florencji sekcję polską na wszechświatowej wystawie grafiki, trzeba było widzieć jego troskę, aby żadnemu z młodych artystów nie stała się krzywda przy rozdziale miejsc, trzeba było obserwować z jaką radością stwierdzał powodzenie swych uczniów i uczennic, jak krzątał się, aby każdemu umożliwić dostęp do tej cząsteczki sławy, której włosi i wogóle cudzoziemcy tak skąpo udzielają nieznanym!

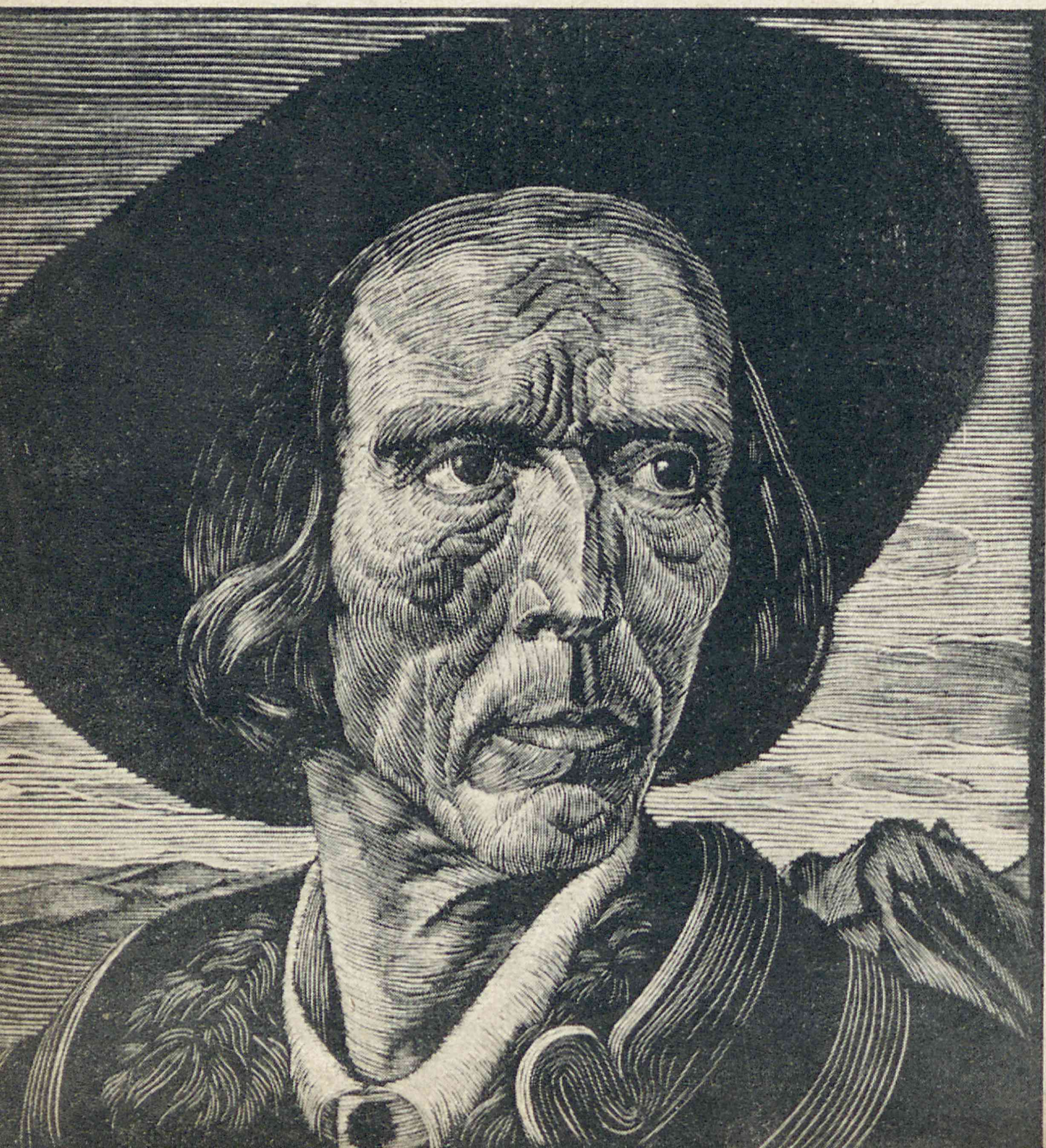


Władysław Skoczylas. Ul. Kanonja w Warszawie

Welki artysta zmarł w sile wieku, w pełni sił twórczych. Nieubłagane cierpienie, które bez jego wiedzy trawiło już zapewne czas dłuższy jego organizm, zmogło go w ciągu dni kilku. Jeszcze tak niedawno, przed paroma zaledwie tygodniami, mieliśmy sposobność rozmawiać z nim, kiedy w wywiadzie udzielonym redakcji „Świata" wypowiedział się z właściwą sobie siłą i jasnością na temat życia i twórczości artysty. Dziś chylimy czoło nad Jego mogiłą.

Zanim w najbliższym numerze postaramy się zobrazować całokształt jego działalności artystycznej i społecznej, dziś, w chwili jego przedwczesnego zgonu, stwierdzimy tylko z najgłębszym żalem: sztuka polska poniosła stratę niepowetowaną.

Władysław Skoczylas. Głowa górala



KONKLUZJE ANKIETY

„Artyści mówią o sobie"

Zakończona w numerze 12-ym „Świata" ankieta nasza wśród artystów plastyków wywołała żywy oddźwięk. Wobec tego, że trwała ona kilka tygodni, sądzimy, że dla czytelników pożyteczne będzie pewne podsumowanie i zestawienie odpowiedzi artystów.

Kryzys w sztuce.

Na ten bolesny temat Henryk Kuna wypowiada pogląd, że kryzys rzeźby i malarstwa płynie poniekąd z nagości współczesnej architektury, wykluczającej wszelką ozdobność. Natomiast Skoczylas i Jastrzębowski wyrazili się bezapelacyjnie: „Istnieje kryzys, gdyż wytworzyła się *przepaść* między artystami a społeczeństwem". Pruszkowski dostrzega powody kryzysu w „zbyt długo panującej idei fragmentów". Wittig zaś twierdzi, że „rzeźbę gubi dekoracyjność i stylizacja".

Natomiast reprezentanci „młodych", Cybis, Czyżewski, Stażewski, uważają, że kryzysu w sztuce niema, a Czyżewski ogłasza nawet, że „jest w sztuce *poprostu renesans!*"

Czy znaczy to, że artyści dojrzali mają sąd surowszy, a młodzi patrzą bezkrytycznie? Czy też, że artystom dojrzałym nie trafiają do przekonania te właśnie kierunki, które młodzi uważają za „renesans"?

Djametralnie różne poglądy zanotować możemy i w sprawie *tematu w sztuce.*

Starsi wartość tematu w dziele sztuki bezwzględnie uznają. Pruszkowski nie wątpi: „Sztuka wróci do tematu". Jastrzębowski stwierdza: „Epoki wielkiej sztuki były tematowe". Skoczylas mówi twardo: „Usunięcie treści ze sztuki — to zwyrodnienie, a martwa natura, to tylko droga do celu, nie cel".

Młodzi zaś gwiżdżą zgodnym chórem na „temat": Cybis sądzi, że to „tylko moda aby o tem gadać", a Stażewski posuwa się do twierdzenia, iż „nie widzi, co na obrazie jest namalowane".

Gdzie niema żadnych kontrastów między obiema grupami, to w poglądach *na brak muzeów w Polsce.* Nieoczekiwana zwłaszcza jest ta głęboka potrzeba u młodych. Czapski marzy o podróży do Włoch, Czyżewski mówi z rozpaczą: „Człowiek jest jak na pustyni! Szukanie podniety u starych mistrzów — to konieczne lekcje dla malarza". Wąsowicz podkreśla z naciskiem, że „jedno, co uchronić może od depresji, to pójście do Luwru, zachwycenie się wielką sztuką". Tylko przekorny Witkowski paradoksalnie przeczy: „Poco aż Luwr? od tego głowa boli. Wystarczy zilustrowanie w naszych muzeach trzech wieków wstecz i współczesności, to dosyć".

(Zapytamy pana Kamila na boku: czy aby napewno wystarczy? Czy właśnie barok, rokoko, pseudoklasycyzm początków XIX wieku więcej były warte, niż surowa sztuka etruska, czy bizantyńska, czy romańska, albo gotycka? I czy bliższy będzie artyście współczesnemu Fragonard — czy Masaccio? Canova — czy Giovanni Pisano?)

Zupełny rozdźwięk między artystami starszymi a młodymi panuje w sprawie studjów zagranicą. Starsi widzą w wyjazdach dłuższych raczej strony ujemne. Wypowiadają kategorycznie pogląd, że tylko artysta, który ma za sobą całe lata pracy, może z wyjazdu zagranicę wyciągnąć korzyść. Skoczylas sądzi, że wogóle długi pobyt zagranicą jest zły. Pruszkowski dosadnie mówi, że „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu", a najkonkretniej może wypowiada się Jastrzębowski, który wysyłając młodych artystów na dokształcenie zagranicę zaleca „ścisłe określenie im zadań a nawet marszruty". Kuna podkreśla, że niedouczki wpadają przez przedwczesny wyjazd w zgubny dyletantyzm. Wąsowicz przestrzega przed wysyłaniem ludzi niedojrzałych, skłonnych do „łapania nowinek".

Młodzi zaś rwą się do wyjazdów wszystkiemi siłami. Czapski uważa, że kształcić się można tylko w Paryżu.

W zakresie systemu pracy dają się zauważyć dwa wyraźne odłamy: jedni pracują systematycznie, pracę codzienną w określonych nawet godzinach uważają za konieczną. Jastrzębowski twierdzi, że polskie talenty nie dają rezultatów właśnie z powodu niesystematycznej pracy, tak samo sądzi Kuna, który równie jak Wittig i Wąsowicz pracuje systematycznie. Inni pytania tego raczej unikają, a Czyżewski odpowiada wprost: „Codzienne malowanie — to byłoby nieznośne jarzmo"...

Ankieta zawierała też pytanie, *jakich artystów cenią?*

Okazuje się, że wcale nie są tacy groźni. Nawet awangarda ceni mistrzów notorycznie uznanych, sklasyfikowanych, mających bardzo wysokie miejsca w hierarchji artystycznej. Jastrzębowski wymienia przedewszystkiem sztukę gotycką, Kuna obok gotyku zamieszcza sztukę grecką, a ze współczesnych Matejkę i Picassa. Wittig kocha Grecję i Donatella, Pruszkowski Velasqueza i Rembrandta, Skoczylas dołącza do nich Cézanne'a i van Gogh'a. Tom, jako grafik, stawia najwyżej Rembrandta, Holbeina, a z polaków Wyczółkowskiego i Noakowskiego. Czapski i Czyżewski mają upodobania zbliżone: Goya, el Greco, Bonnard, Matisse, Cézanne, Renoir. Obaj cenią z polaków Kotsisa, Gierymskiego. Cybis lubi Courbet'a, Cézanne'a, van Gogh'a, Corota, Bonnarda, flamandów i Dürera. Z polaków Kotsisa, Gierymskiego, Rodakowskiego. „Matejko i Wyspiański — to nie plastycy" — powiada.

Wąsowicz uwielbia Rembrandta i Teniersa, Rouault i Cézanne'a. Witkowski — Cézanne'a, van Gogh'a, z polaków uznaje Rodakowskiego i Michałowskiego.

Jak z powyższego wynika, rozmaite Archipenki i inne barbarzyńskie Kokoszki bynajmniej dla naszych modernistów nie są alfą i omegą w sztuce. Na Cézanne'a przysięgało już pokolenie poprzednie, lat temu 25. Postępem jest napewno to, że młody malarz dzisiaj nie wstydzi się uznać wielkości Rembrandta, Dürera, Velasqueza, Gierymskiego czy Michałowskiego. Nie znaczy to jednak wcale, aby podzielali wszyscy zdanie Skoczylasa, który powiedział dobitnie: „Modernizm stworzyły małe i średnie talenty, nie twórcy".

I tu byłby długi temat do dyskusji między zaproszonymi gośćmi „Świata", gdyby... gdyby nie to, że wogóle nie umówiono się, co rozumieć pod słowem „modernizm". Cybis, Czapski, Czyżewski zdają się za modernizm uważać neo-impresjonizm, zaś Witkowski, wieczny rewolucjonista, odżegnywa się od tego starego kierunku, i za modernizm uznaje tylko to, co przyszło po impresjonizmie i co wiąże się z formizmem, kubizmem i kierunkami im pokrewnemi.

Pogodzimy ich narazie kompromisem: każdy ma taki modernizm, jaki sobie wybrał. „W sztuce jest niebywały chaos" — jak słusznie stwierdził Wąsowicz.

Z. N. Ch.

JAN SŁUPSKI

TALERZ ZUPY (NOWELA)

Technik Edward Kurt był głodny. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Nie pomogły żadne dysputy z samym sobą na temat: co to jest właściwie głód? Żołądek wielkim głosem wołał: daj mi jeść! Ostatecznie Edward Kurt przyznawał mu rację. Nie próbował już nawet tłumaczyć mu całej śmieszności tych żądań, skoro się nie ma grosza w kieszeni. Owszem, może mu zaofiarować grudkę błota, którą przed chwilą rozdeptał nogą, niedopałek papierosa, ostatecznie ulotkę reklamową, którą jakaś pani wzięła machinalnie z rąk chłopaka i, nie czytając, rzuciła na ulicę. Ale Edward Kurt wie, że on tych darów nie przyjmie, a nie chciałby, broń Boże, okazać się w stosunku do niego złośliwym. Za nic nie chciałby go rozdraźnić. Owszem, przyznaje, że ten kawałeczek chleba i szklanka herbaty, które ofiarował mu wczoraj wieczorem, to trochę za mało, skoro zbliża się już następny wieczór, ale przecież w ciągu tak długiego czasu powinien był się już przyzwyczaić i nauczyć cierpliwości.

Czy on zapomniał, że kiedyś miał wszystkiego poddostatkiem, że nawet chorował z przejedzenia? Nie często, ale zdarzało się. Czy wtedy żałował mu czego, skąpił? Więc dlaczego teraz jest taki natrętny? Cóż z tego, że to wszystko było już tak dawno?... Edward Kurt już nawet nie pamięta kiedy: może trzy lata temu, może dziesięć? A te kilkanaście najpiękniejszych lat swego życia, które Edward Kurt poświęcił dla nauki — to właściwie dla kogo to zrobił? Tylko dla niego. Chciał go na całe życie zabezpieczyć. A że stało się inaczej — trudno.

Bo czyż ostatecznie Edward Kurt jest temu co winien, że pomimo całej swojej wiedzy od dwuch lat nie ma stałej pracy? Że od dwuch lat żyje z dnia na dzień z dorywczych, nędznych zarobków? Czyż nie robił wszystkiego, co jest w ludzkiej mocy, aby tę pracę uzyskać? Czyż nie chodził, nie szukał, nie prosił — co to prosił! — ze łzami w oczach o tę łaskę nie skamlał? Czyż nie pokazywał całych stosów chlubnych świadectw? Czyż nie wyczekiwał całemi godzinami w różnych przedpokojach, aby się o swoim losie dowiedzieć, chociaż zgóry wiedział, jaka będzie odpowiedź?

Robił to wszystko Edward Kurt, robił. A że nic z tego wszystkiego nie wyszło — trudno. Na to są przecież ogólno-społeczne przyczyny. Jest Liga Narodów. Są obrady, narady, sesje, zjazdy, wyjazdy, sekcje, podsekcje, mowy, przedmowy... Jest pakt czterech, ośmiu, szesnastu... Są partje przeróżne... I Fundusz Pracy, i radość pracy, i wyścig pracy (niema tylko pracy) i twórczość radosna... Do djabła jest tego wszystkiego! Jest jeszcze, podobno, kryzys.

Cóż z tego, że ciebie to wszystko absolutnie nic nie interesuje? Masz rację... jednak nie można być takim egoistą. Trzeba czasami i o rzeczach wyższych, radosnych pomyśleć. Tobie by tylko żreć! Zresztą, Edward Kurt nie traci nadziei, że to wszystko może się jeszcze zmienić.

Przedewszystkiem za wszelką cenę trzeba do jutra przetrzymać. Za długo?... Ale trzeba. Jutro wieczorem Edward Kurt ma się z jednym panem zobaczyć, który coś mu tam obiecał. Tak źle jeszcze nigdy nie było. Jakoś do tej pory sobie radził. Sprzedawał, dopóki jeszcze coś miał, pożyczał, brał na kredyt, długo sypiał... Wszystko to dla ciebie robił. A ty ciągle dopominasz się, coraz natrętniej. O! Edward Kurt dobrze wie, że ty bez chwili wahania chwyciłbyś te kilka bułek, leżących za szybą wystawową, i pożarł. Ale Edward Kurt tego nie zrobi. Edward Kurt nigdy złodziejem nie był i nie będzie! Ma jeszcze nadzieję na lepszą przyszłość. Lepiej odejdzie stąd i postara się zapomnieć o tem, co widział.

Dlaczego tak się złościsz? Czyż nie widzisz, że Edward Kurt ma łzy w oczach, płacze? Stara się tylko, aby ktoś z przechodniów tego nie zauważył. A może ma stanąć pod murem, zdjąć czapkę i czekać? Tego też nie zrobi, bo Edward Kurt jest taki głupi inteligent, który chce pracować, nie żebrać. Lepiej pomyśli, czy nie mógłby pójść do kogo ze znajomych na obiad? Owszem mógłby, ale nigdzie nie pójdzie. Poszedłby, ale bez ciebie. Z tobą wstydzi się iść. Przecież wszyscy odrazu poznają, że to nie Edward Kurt przyszedł, aby porozmawiać o teatrze, o ciężkich czasach, zagrać w brydża, lecz że to ty go przyprowadziłeś. Nie, nie niema o czem mówić! Nigdzie Edward Kurt nie pójdzie.

A może ma iść na most? Tego też nie zrobi, bo chce jeszcze żyć. Nie myśląc poco? naco? czy warto? Chce żyć — dla samej radości istnienia.

Właściwie mówiąc, Edward Kurt jeszcze nie żył. Nie zdążył. Kiedyś uczył się, potem zaczął pracować, potem przestał. A przecież ma chyba prawo marzyć o tem, aby mieć swój dom, żonę, dzieci...

Ach, przestań! Zapominasz, że prócz ciebie Edward Kurt ma jeszcze głowę, która tak boli, a wewnątrz niej zaczyna coś wirować. Teraz trzeba pójść w aleje i usiąść na ławce. Poprostu: Edward Kurt wyszedł sobie na spacer.

Daleko rozsądniej byłoby pójść tam, gdzie jest ta stołówka? Hm, może masz rację? Ale do środka Edward Kurt za nic nie wejdzie. Niema poco. Ot, przejdzie się tylko, popatrzy. Podłe tam jedzenie. Wprawdzie tanie: cały obiad kosztuje 55 groszy, ale podłe. Podobno znaleziono tam raz w kotle szczura. Nawet w gazetach o tem pisali. A może to tylko złośliwość konkurencji? Edward Kurt nietylko szczura, ale nawet myszy nigdy w talerzu nie znalazł. Owszem, znalazł raz guzik od spodni. Zresztą w danej chwili to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia.

Ciekawe jednak, coby to było, gdyby tak Edward Kurt zjadł obiad i oświadczył, że nie ma pieniędzy? Wyrzuciliby za drzwi? Zawołaliby policję? A może nicby nie zrobili? Przecież nie zażąda kawioru. Zwykły obiad za 55 groszy, aby tylko do jutra. Nie, nie, to nie ma najmniejszego sensu. Tu nie chodzi o policję, ale o ten wstyd, o te spojrzenia usługujących, gości... Czekaj, Edward Kurt pomyśli jeszcze nad tem. Dojdzie tylko do rogu i z powrotem...

Technik Edward Kurt otworzył nieśmiało drzwi i wszedł. Usiadł przy stoliku. Zjadł kawałek chleba.

— Szczawiowa, krupnik, kotlety, zrazy z kaszą?

— Kr... kru... krupnik.

— Na drugie?

— Później zobaczę.

Chciał już tylko poprzestać na zupie. Zaczął jeść. Starał się czynić to spokojnie, opanowując bolesny skurcz szczęk i przykry napływ śliny do ust. Próbował o niczem nie myśleć i, przedewszystkiem, nie patrzeć na boki. W miarę opróżniania się talerza tracił panowanie nad sobą.

— Co będzie ze mną dalej? — myślał. — Co będzie? Najgorsze, że nie mam w tem żadnego do-

świadczenia. Jak oni to robią? Czy goście też biorą w tem udział? Rozejrzał się po sali, gości było dużo. Źle!

Nieznacznie zmierzył okiem odległość od stolika do drzwi.

— Niedaleko. To dobrze.

Zaczął już żałować swego nieopatrznego postępku. Z rozkoszą oddałby zjedzoną zupę z powrotem. Nadomiar wszystkiego jakieś męskie towarzystwo zajęło stolik stojący między nim i drzwiami.

— Ci dadzą mi po drodze — przebiegło mu przez głowę.

Uczuł się w położeniu lisa, osaczonego przez ogary. Wkońcu zobojętniał na wszystko. Zaczął jeść dalej. O coś zawadził łyżką na dnie talerza. Uśmiechnął się.

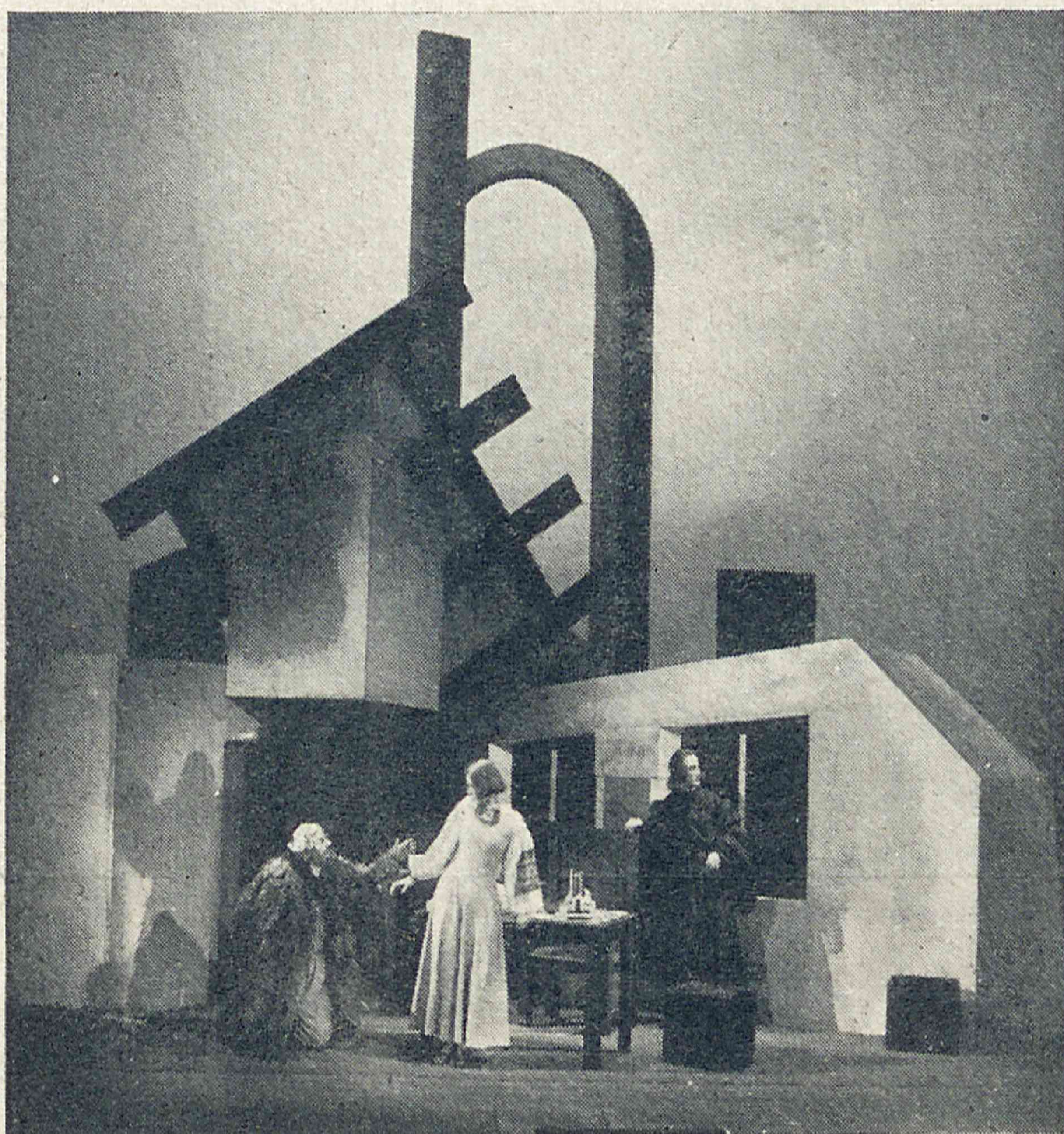
— Znowu guzik? Może teraz od marynarki? Mam szczęście!

Jeszcze jeden ruch ręką — i Edward Kurt zdrętwiał: na dnie talerza leżała złotówka.

Z teatru lwowskiego:

Interesujące dekoracje A. Pronaszki do „Mistrza Manole" Blagi

Il. 1 — akt. I.
Il. 2 — akt. II.
Il. 3 — akt. IV.



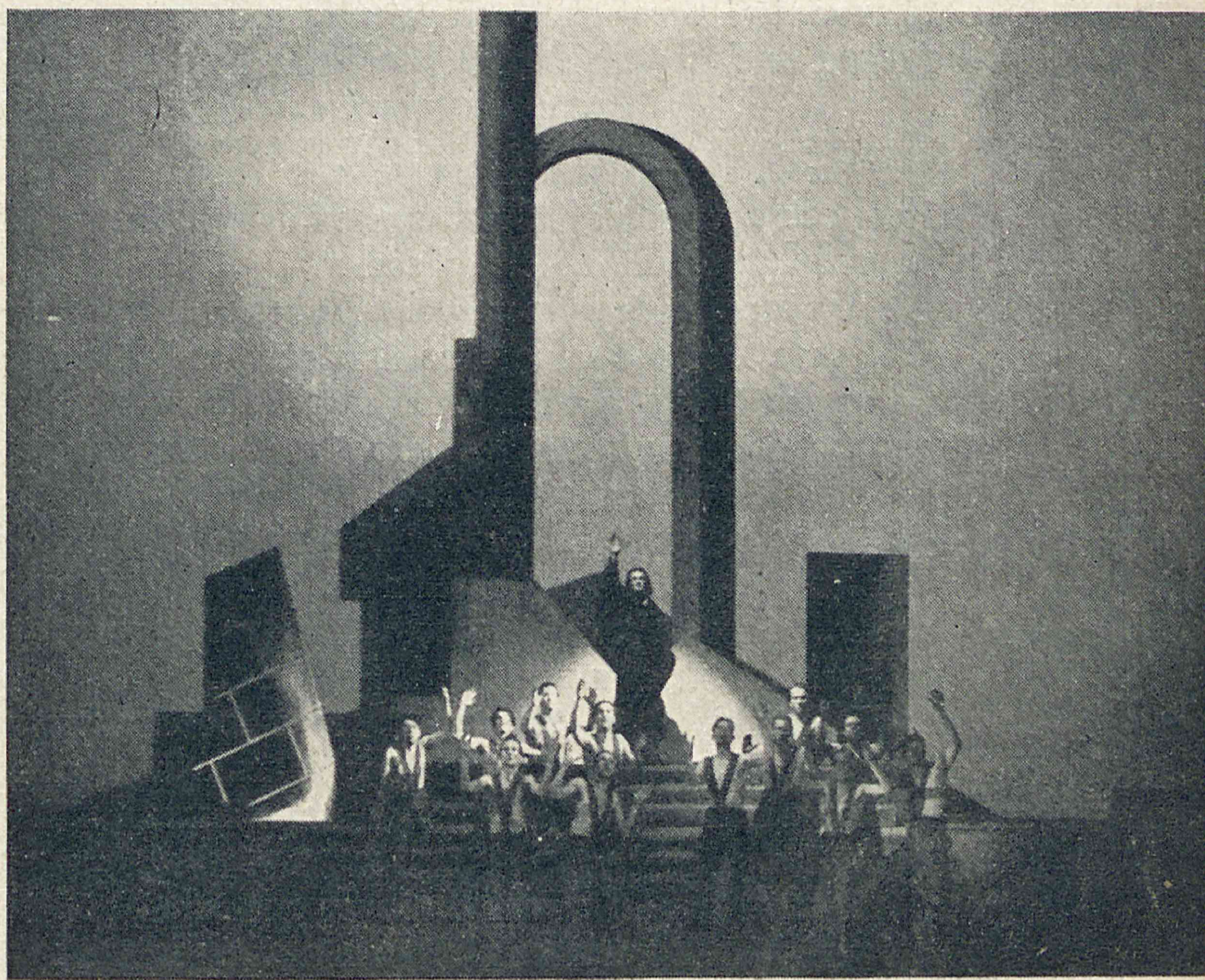
Z TEATRU LWOWSKIEGO

MISTRZ MANOLE,

dramat w 4 aktach Lucjana Blagi. Inscenizacja: W. Horzyca, reżys. K. Tatarkiewicz, dekor. A. Pronaszko.

Do owocnych poczynań Lwowa na terenie zbliżenia polsko-rumuńskiego dodał dyr. Wilam Horzyca nową i piękną pozycję, wprowadziwszy na repertuar lwowski i polski pierwszą sztukę rumuńskiego pisarza. Wybór padł na potężny, o antycznym zakroju dramat jednego z najciekawszych współczesnych poetów, dramaturgów i filozofów rumuńskich Lucjana Blagi—„Mistrz Manole".

Autor dla zobrazowania odwiecznego konfliktu, któremu na imię twórca i dzieło, konfliktu, opartego na elemencie najwyższej ofiary, posłużył się starą, ludową legendą, opiewającą tragiczność losu budowniczego Manole, który za cenę poświęcenia życia ukochanej żony kończy dzieło zaczęte, okupując czyn własną śmiercią.



Dramat Blagi zyskał w inscenizacji Wilama Horzycy, reżyserji Tatarkiewicza oraz oprawie dekoracyjnej Andrzeja Pronaszki wspaniałą realizację. Stylizacja o charakterze misteryjnym, wyrosła na tle koncepcji Mistrza i trzynastu murarzy, znacznie dobitniej i silniej uwypukliła naczelną ideę utworu, niż realistyczne wcielenia dzieła Blagi na scenach bukareszteńskiej i berneńskiej. Z grona aktorów na pierwszy plan wysunęli się: Tadeusz Białoszczyński (Manole) i Janina Niczewska (Mira).

Uroczystą premjerę, w której — poza przedstawicielami władz i instytucyj miejscowych, wzięli udział: autor, gen. konsul rumuński we Lwowie p. T. Gallin, oraz attaché prasowy w Warszawie, wybitny poeta rumuński A. Cotrus, publiczność lwowska przyjęła gorąco i szczerze. Pierwszy ten krok jest niewątpliwie zapowiedzią dalszej wzajemnej wymiany dramatycznego repertuaru obu narodów, i to zapowiedzią wiele obiecującą.

Włodzimierz Lewik





ŚWIAT TEATRU

TEATR POLSKI

„Zbrodnia i kara" T. Dostojewskiego. Powieść dramatyczna w 5 częściach. Reżyserja L. Schillera, dekoracje Daszewskiego.

Wielki i niezaprzeczony sukces Teatru Polskiego. Realizacja wysokiej klasy, stanowiąca olbrzymi krok naprzód w działalności tej sceny.

A zadanie nie było łatwe. Wykrojenie z potężnego dzieła Dostojewskiego sztuki teatralnej, która, zachowując głębię powieści, nie wpadłaby w gadulstwo ani zbędne dłużyzny — było trudnością pierwszą. Pokonano ją zwycięsko. Nie wymieniono w programie, kto dokonał tej przeróbki — jest ona jednak dziełem człowieka o głębokim instynkcie i znawstwie sceny. Szereg szybko po sobie następujących obrazów, skondensowanych i naładowanych dramatycznie do maximum, nie daje widzowi możności wyrwania się z tego nastroju grozy, który ogarnia nas od podniesienia kurtyny i trzyma w najwyższem napięciu do końca.

Wydobycie tego nastroju było zadaniem reżysera, który potraktował sztukę wnikliwie, inteligentnie, głęboko: niczego nie przejaskrawił, niczego nie zdeformował wykrygowanemi „podejściami" — pozwolił mówić wielkiemu Dostojewskiemu i jego intencje podkreślił. Schiller dowiódł raz jeszcze, jak wybitnym jest reżyserem, napewno jednym z najlepszych w Polsce.



Wykonanie stało na wysokim poziomie. Zupełnie ponad i przed wszystkimi wymienić należy Zelwerowicza, który z roli Porfirego zrobił istne arcydzieło. Jego przejścia od groźnego skupienia do udanej, rozlewnej dobroduszności, jego ton ciepły, poczciwy, pod którym czuło się zimną obserwację i nieomylną djagnozę, jego pseudo-roztargnienia, osłaniające czujną, wyostrzoną uwagę — to były mistrzowskie niuanse, z których artysta zbudował człowieka żywego, skomplikowanego, zagadkowego. Człowieka, którego wkońcu i my, jak Raskolnikow, dręczona ofiara, zapytalibyśmy ze zgrozą: „Kimże pan jest wreszcie?"

Junosza Stępowski w roli pijaczyny dał świetny epizod, dosadnie malujący dno nędzy i upadku byłego „czynownika". Niewielka, tragiczna rola jego żony dała pole Solskiej do stworzenia niezrównanej postaci ucieleśnionego cierpienia, istnienia zawieszonego między rzeczywistością i wyobraźnią, na pograniczu świadomości i obłędu. Andrzejewska nie stanęła na wysokości zadania: jej Sonia była rezonerska, zimna, katechizmowa bez przekonania. Brakło jej ciepła wewnętrznego, szczerości, wiary we własne słowa. Doskonałą sylwetę policjanta Zamietowa dał Żeleński, opracowaną do najdrobniejszych szczegółów, wymowną w geście, grymasie, a zwłaszcza w spojrzeniu.

O głównym bohaterze, umęczonym ponad miarę ludzką, o ofierze własnej zbrodni, Raskolnikowie, zagranym przez Damięckiego, rzec można bez przesady, że był rewelacją młodego talentu. Rola to olbrzymia — nietylko przez swe napięcie duchowe, ale wprost przez fizyczną obecność na scenie przez cztery godziny bez przerwy. Już byłoby bardzo wiele, gdyby można było o młodym artyście powiedzieć, że rolą taką udźwignął. Tymczasem o Damięckim powiedzieć można znacznie więcej: rolę swą przeżył, nieszczęściem swem wzruszał widza do głębi, nie



wpadł przytem w przesadę ani w łatwą krzykliwość — dał sylwetę człowieka słabego aż do zbrodni, ambitnego bez podstaw, umęczonego własnem postanowieniem, balansującego między wyrzutami sumienia a obłąkanemi napadami pychy z dokonanego czynu. Dał żywy strzęp ludzki, wciągnięty w bezlitosne tryby rozpędzonej machiny, która go porwała i szarpie aż do żałosnego, ekspjacyjnego zakończenia.

Damięcki dowiódł tą rolą, że scena polska oczekiwać może od niego bardzo wiele. O reszcie z pośród kilkudziesięciu wykonawców powiedzieć można, że zestrojeni byli harmonijnie w jeden posępny chór, który spełnił swe zadanie uwypuklenia rozwijającego się dramatu głównych postaci. Pomogły w tem zadaniu dekoracje Daszewskiego, mroczne, zionące nędzą, zbrodnią, szaleństwem — jak tego ton sztuki wymagał.

Z. N. Ch.



BALET ZESPOŁU JOOSS

W przyszłym tygodniu Teatr Wielki gościć będzie zespół taneczny, który w Paryżu na konkursie międzynarodowym, zorganizowanym przez „Archives Internationales de la Danse" zdobył pierwszą nagrodę. O zespole tanecznym „Jooss" prasa paryska pisała wiele. Przytaczamy tu głos znakomitego artysty, twórcy Teatru du Vieux-Colombier — jednego z nielicznych reformatorów twórczych teatru francuskiego, Jacques Copeau, który w obszernym artykule w „Nouvelles Litteraires" omówił niezwykle pochlebnie artystyczne wyniki zespołu „Jooss".

„Poczęty ze szkoły, której zawdzięcza swą wyjątkową formację techniczną i swego ducha zespołu, „Balet Jooss" zdobył w zeszłym roku pierwszą nagrodę na konkursie choreografji, zorganizowanym przez „les Archives Internationales de la Danse", zainicjowanym przez Rolf'a de Maré. Krótki „sezon" w Paryżu, po którym nastąpiło tournée po Europie i Ameryce, przyniosły zespołowi liczne i trwałe sukcesy. Widzimy ich z powrotem wśród nas, pragnęlibyśmy, aby działali jako przykład i jako ośrodek entuzjazmu. Na pierwszym swym wieczorze w teatrze des Champs-Elysées doznali gorącego przyjęcia".

A dalej wybitny ten krytyk pisał: „Rewelacyjny „Zielony stół" jest specjalnie wartościowy dzięki temu, iż daje on nam orkiestrację figuracji. Sprowadza nas ona do podstaw dramatu. Ożywia ona martwe strony teatru współczesnego. Figuranci teatru współczesnego nie przedstawiają już obecnie nic, nie znaczą nic. Umarli oni, gdyż są oderwani, oddzieleni, izolowani od komórki chóralnej.

Jooss reformuje chór.

Ale chór oswobodzony z oków miejsca i wymiaru, którenii krępowała go architektura sceniczna teatrów starożytnych. Jest to chór wyzwolony, który sam sobą zajmuje całą scenę i chce sam wypełnić całe przedstawienie."

A w innem miejscu Copeau pisze o „Zielonym stole": „Musiałbym mieć znacznie więcej miejsca i czasu, aby wyrazić do dna wszystko to, co ten „balet" budzi we mnie. Moje wrażenia, idee, refleksje techniczne a także wszystkie nadzieje, jakie budzi on we mnie w stosunku do teatru przyszłości.

Niechaj wystarczy na razie, gdy powiem, iż w „Zielonym stole" odnajdujemy sens dramatyczny nieskończenie oryginalniejszy i potężniejszy, bardziej przekonywujący i wyrazisty, posiadający więcej tryskającego i głębokiego życia, niż w większości sztuk i inscenizacji, z których zazwyczaj dawaliśmy sprawozdania".



"LA GRANDE VILLE"



Mali Amerykanie studjują w szkole tajniki sztuki kulinarnej

HODOWLA NIEDOŁĘGÓW

Otrzymujemy od jednej z naszych czytelniczek szereg uwag na temat układu rodziny współczesnej. Sprawa niewątpliwie aktualna i kategoryczna djagnoza postawiona przez naszą czytelniczkę — nadają się do rozwinięcia szerszej na ten temat polemiki. Otwieramy chętnie łamy „Świata" dla rodziców i wychowawców, którzyby pragnęli zabrać głos w dyskusji.

Architekt. Bezrobotny od trzech lat. Posiada pod miastem domek z ogródkiem. Żona jeździ do biura codziennie do Warszawy i ze swej obciętej kryzysowej pensji utrzymuje męża, matkę-staruszkę, i jeszcze jakichś dwuch krewniaków.

„Ach, proszę pani, jakżebym chciał znaleźć jakiekolwiek zajęcie — wzdycha bezrobotny. O ileż lżej byłoby mojej żonie! Przecież teraz nie możemy sobie pozwolić na trzymanie służącej, więc biedactwo rano, zanim pojedzie do biura, sama sprząta mieszkanie. A popołudniu, jak wróci, jeszcze musi obiad ugotować, pozmywać. No, ogródkiem to już ja się sam zajmuję".

Spojrzałam na draba z obrzydzeniem. Ani mu do głowy nie przyjdzie, że skoro żona na utrzymanie domu pracuje, a on nie — to jego obowiązkiem jest gotować, sprzątać, prać — i do licha tej ciężko pracującej poza domem kobiecie czemś wkońcu dopomóc. Bo i dla niej te zajęcia służącej są nowe i niełatwe. Nie, on grządki piele w ogródku...

Półinteligent. Zajęcie wieczorne w kinie jako bileter. Zarabia tyle co nic: półtora złotego dziennie. Z pensji nie wyżyje — ale żona praczka przyjmuje robotę do domu, pierze „po gospodach". Ona właściwie utrzymuje dom. Ale *ona* też zamiata pokój, wynosi śmiecie, chodzi na targ, gotuje.

Chłop na wsi. Małorolny. Pracuje we dworze „na dniówkę" jak pracę znajdzie. Żona też najmuje się do roboty, do pielenia, do kopania, do sadzenia. Czy obiad uwarzy to, które danego dnia jest wolne? Nie. Na obiad czeka haremowy władca, aż mu go „baba" przygotuje. A już własną krowinę wydoić, kiedy kobieta jest w zajęciu, wydawałoby mu się ośmieszeniem na całe życie.

Myślenie o dzieciach i o problematycznem zresztą sprzątaniu pozostawia, rzecz prosta, również swej połowicy.

* * *

Od góry do dołu — to samo. Stosunek średniowieczny mężczyzny-żywiciela do kobiety - gospodyni. Tylko że warunki się zmieniły, mężczyzna *przestał* być żywicielem — albo jest nim tylko *częściowo* — a mimo to zapomniał część trosk domowych wziąć na siebie.

I tak się jakoś złożyło, że kobieta podołać musi wszystkiemu.

Być w swym zawodzie bystrą, przytomną, szybką i twórczą pracownicą.

Być w domu gospodynią, służącą, praczką, kucharką, nauczycielką dzieci, a jak potrzeba, to i stolarzem, tapicerem, krawcową i froterem.

Być matką wyrozumiałą, cierpliwą, konsekwentną, stanowczą, mądrą, ale dobrą.

Być żoną pobłażliwą, przyjaciółką i powiernicą męża, towarzyszem jego zabawy, pomocnicą w jego pracy.

Pozostać w tem wszystkiem „panią" — to znaczy broń Boże się nie zaniedbywać, mieć ręce zawsze wymanicurowane, zaondulowane włosy, suknię modną i odmładzającą, błyszczące radością oczy.

No i poza wszystkiem — być mężowi naturalnie wyrafinowaną, najgorętszą kochanką.

Czy wystarczą 24 godziny na dobę, aby tym wszystkim obowiązkom sprostać?

* * *

Ta jaskrawa, anachroniczna niesprawiedliwość trwa tylko dlatego, że MATKI NIE UMIEJĄ WYCHOWYWAĆ SWOICH SYNÓW.

Jeszcze może z tego czy owego harcerza wyrośnie jako tako dołężny mężczyzna. Ale zwykły chłopak w rodzinie od dzieciństwa chowany jest w tak zakamieniałych przesądach, że pokolenie kobiet, które przyjdzie po nas, zupełnie już nie będzie wiedziało, co począć z temi przedhistorycznemi typami w warunkach nowoczesnych.

W domach średniozamożnych, albo zgoła zupełnie niezamożnych pokażcie mi chłopców, którzyby codziennie sprzątnęli pokój, posłali swoje łóżko, napalili w piecu, pobiegli załatwić matce ranne zakupy, a po powrocie ze szkoły nakryli do stołu, ugotowali obiad, pozmywali, zaciągnęli podłogę — słowem, zrobili to wszystko, co *robiła ongi służąca* — której niema. I której już *nie będzie.*

Pokażcie mi chłopca, który z prostotą i wprawą uprałby swoją bieliznę, pocerował pończochy, poprzyszywał guziki, nie oglądając się bezradnie, jak jego niedołęga-ojciec, aż mu tę syzyfową pracę wykona — kobieta.

Na miłość boską, w interesie waszych córek, matki, które macie synów, skasujcie od jutra, *od dziś* tę niemoralną hodowlę niedojdów!

* * *

Znam takie, które się oburzą. „To nie są męskie sprawy". „Mężczyzna się tego nigdy nie nauczy".

— Dlaczego? — pytam. Myśmy się w ciągu trzech pokoleń podciągnęły do poziomu męskiego umysłowo. Pokonywamy dziś równie łatwo zawiłości nauk ścisłych, jak dawniej umiejętność robienia na drutach skomplikowanych supełków. (Supełków zresztą nie zarzuciłyśmy, i dlatego często jesteśmy tak tanim kosztem estetycznie ubrane).

A czego się nauczyli „oni" w ciągu ostatnich pokoleń?

Jazdy na nartach. Piękny sport, ale to trochę za mało.

Niech się jeszcze, jak w szkołach amerykańskich, nauczą gotować, będzie już ładny krok naprzód.

Poddaję pod głosowanie: która matka jest za wprowadzeniem obowiązującej nauki gospodarstwa domowego w szkołach męskich — niech podniesie rękę!

A jeśli która jest przeciwna — niech nam rzeczowo wyjaśni *dlaczego.*

Anna S.

Sto twarzy K. Adwentowicza

(W przededniu 35-lecia pracy scenicznej)

Za kilka dni obchodzić będzie w Teatrze Wielkim 35-lecie pracy scenicznej jeden z najwybitniejszych a nielicznych już mohikanów sztuki aktorskiej doby przedwojennej — Karol Adwentowicz.

Karjerę aktorską zaczynał Adwentowicz, tak jak wszyscy zresztą jego koledzy z końca zeszłego stulecia — na prowincji, w r. 1896 w objazdowej operetce Czystogórskiego. Pierwszą jego rolą odpowiedzialniejszą był... stolnik w „Halce". Przez dwa lata grał w komedjach, operetkach, śpiewał, tańczył — był ową przysłowiową „Mädchen für Alles". W trupie Czystogórskiego kolegował ze starszymi znacznie od siebie Leszczyńskim Bolesławem, Lüdową, Rapackim i innymi, którzy od czasu do czasu zaszczycali prowincję występami. Patrząc na ich grę, uczył się wiele, znajdował wskazówki, dla swojej wielkiej intuicji i dojrzewał.

Po dwuletnim pobycie u Czystogórskiego, zaangażował go Rygier do Poznania, a w r. 1900 zabrał go do Krakowa, potem do Lwowa, największy z polskich dyrektorów i najsubtelniejszy odkrywca talentów aktorskich — Tadeusz Pawlikowski. Lata z nim przepracowane, to rozkwit talentu Adwentowicza — zajęcie jednej z najwyższych hierarchji w karjerze aktorskiej. Wielki Ibsen, Strindberg, Maeterlinck, a po nich tytani „Młodej Polski" znalazły w Adwentowiczu aktora niesłychanie podatnego, o seismograficznej wprost wrażliwości na wszystkie drgnienia kompleksów psychologicznych, czy społecznych.

W tym okresie tworzy role, w których jest bezkonkurencyjny: Oswald w „Upiorach", Strindberga „Ojciec", Ibsena „Peer Gynt", cała plejada postaci szekspirowskich z „Hamletem" na czele, nieco później jedna, a właściwie trzy role Zygmunta Augusta w trylogji Rydla.

Z tą samą pasją rozplątuje węzeł kompleksów hamletowskich, z jaką zagra „Brzydkiego Ferrante", lub da kapitalną postać spryciarza w grotesce Twaina, przekraczającej granicę błazeństwa, „Komedji o człowieku, który redagował gazetę rolniczą".

Praca Adwentowicza dla sceny polskiej przypadła w okresie bardzo ciężkim. Po złotym wieku lat przedwojennych, przyszedł chaos zawieruchy, potem organizowania się teatru w warunkach zupełnie nowych i wszystkim poczynaniom kulturalnym niesprzyjających. Adwentowicz, wychowany w najlepszej szkole aktorskiej, nie poszedł śladem tanich i zgubnych eksperymentów, nie poświęcił słowa i jego mocy dla efektu. W każdej roli szuka człowieka i znajduje go zawsze.

Trzydzieści pięć lat poświęconych scenie to wielki odcinek życia i spalania się wewnętrznego. Może napawać dumą, lecz tej dumy w Adwentowiczu niema. Jest raczej tragiczne nawet bagatelizowanie, zamknięte w tem prostem, bezpretensjonalnem zdaniu:

„— Chore serce, stargane nerwy i zdrowie, za kilka dni jubileusz... Parę mów, trochę kwiatów, poklepanie po ramieniu i człowiek skończony...

Lecz tak nie jest. Jubileusz Adwentowicza będzie tylko cząstką należnego mu hołdu i wdzięczności, a wielki artysta nadal pozostanie.

Jan Sokolicz Wroczyński.



Karol Adwentowicz w „Ojcu" Strindberga

„WESOŁE JAJKO" W CYGANERJI

Dobre teksty, wiosenny humor — i „Wesołe jajko" gotowe.

Doskonała jest Stefcia Górska w piosence „Konopacki", niezrównany Minowicz w skeczu „Szafa", bardzo zabawny Krukowski w jednej ze swoich typowych ale zawsze chętnie słuchanych piosenek „I wszystko na tej głowie". Nowy nabytek Cyganerji, recytatorka Jabłonowska wykazuje niewątpliwy talent w „Balladzie o warszawskim jubilerze".

Sym w piosence „Ty, czy ja" ma jeszcze raz sposobność mówienia nam o tem, że go rzuciła kochanka, w co nikt na widowni nie wierzy, i co jako zakres tematów zaczyna być monotonne. Natomiast w skeczu „Sędzia śledczy", świetnie badany przez wymownego Jarossy'ego, wykazuje duże zdolności sceniczne, niedostatecznie jeszcze wyzyskane. Teksty Żelichowskiej nie dają jej pola do rozwinięcia szerokich możliwości jej talentu. Kto tak jak Żelichowska mówił kiedyś „Ostatnie słowo oskarżonej" albo „Grenada, Grenada" — temu należy się więcej uwagi ze strony reżyserów, więcej przemyślenia w rozdziale ról. Piosenka „Wiosna" jest nieco bezbarwna, tango „Vera Cruz" dość banalne, skecz „Arabella" trochę za poczciwie staroświecki. Żelichowska zasługuje już na głębszy repertuar.

Konferensjerka Jarossy'ego jak zawsze lekka i dowcipna, a „Inscenizowane dowcipy" przezabawne. Olsza nie miał pola do popisu w bladej piosence „Szarlatany".

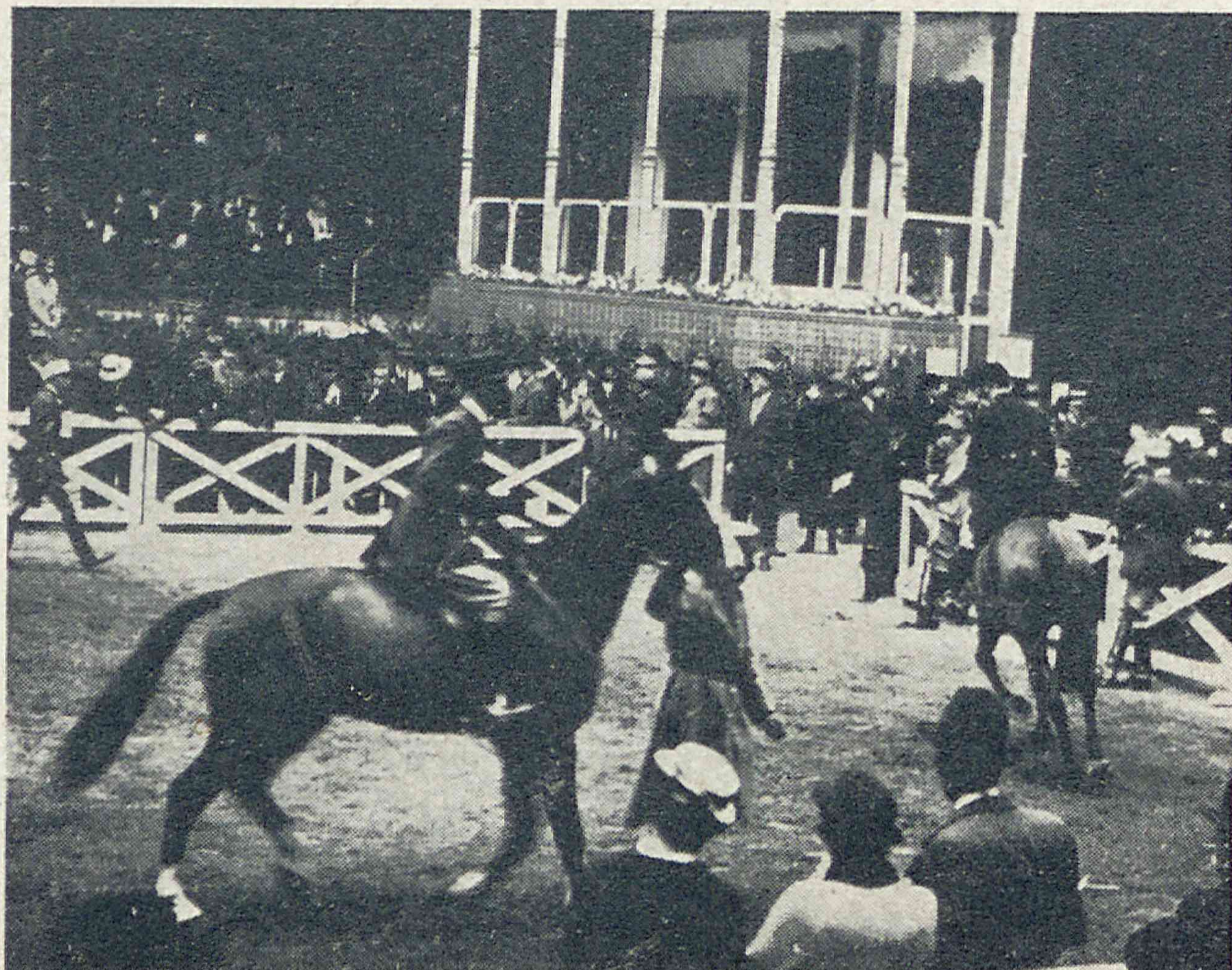
Ciemną plamą obecnego programu jest balet Prusickiej, zmanierowany i monotonny w swych wężowych ruchach ramion. Względnie najlepiej wypadł taniec bez muzyki. Natomiast wszystko, co ma chociażby daleki posmak ludowości polskiej, powinno być z programu tego zespołu czemprędzej usunięte.

Pierwszy finał „Giełda świata" pomysłowy i doskonale zrealizowany pod względem kostjumowym. Najlepsze były kostjumy Jabłonowskiej (czerwoniec), Górskiej (funt angielski), Żelichowskiej (frank francuski).

Z. N. Ch.

TADEUSZ GRABOWSKI

Wyprawa jeździecka na Jasny Brzeg



Konkursy hippiczne w Paryżu już się zaczęły

Nasze asy jeździeckie i ich wierni przyjaciele — czworonożne weterany hippodromów ruszyły po raz jedenasty w gościnne „progi" Jasnego Brzegu, na doroczną, najbardziej interesującą giełdę kawaleryjskich umiejętności.

Pożegnania były serdecznie — różnorodne. Ostrożni i pesymiści, robiąc imaginacyjny znak krzyża nad głowami oficerów, głośno szeptali: „starajcie się jeździć równo, przywieźcie raczej kilka dalszych nagród, niżbyście mieli sobie i koniom nogi połamać..."

Przyjaciele bardziej ostro i zdecydowanie postępujący w życiu byli nieco innego zdania. Ich marzenia i życzenia możnaby określić w sposób (odpowiednio łagodząc ich wymowę) następujący: „połamcie nogi sobie i konkurentom (zwłaszcza konkurentom!), pójcie konie benzyną lub spirytusem, zastrzykujcie im kokainę lub roztopioną siarkę, bylebyście przywieźli „przynajmniej" 12 pierwszych nagród, na dwanaście konkursów (w tem oczywiście „obowiązkowo" Puhar Narodów). Tylko w taki dobitny i nieulegający wątpliwości sposób podtrzymacie wielką tradycję zwycięstw polskiej kawalerji pod Samosierą, ...Grunwaldem, na Psiem Polu i przed laty w... Nicei".

Brr! Bardzo zimno się zrobiło jeźdźcom na takie dictum, mimo iż właśnie wygrzewali się na kwietniowem słońcu.

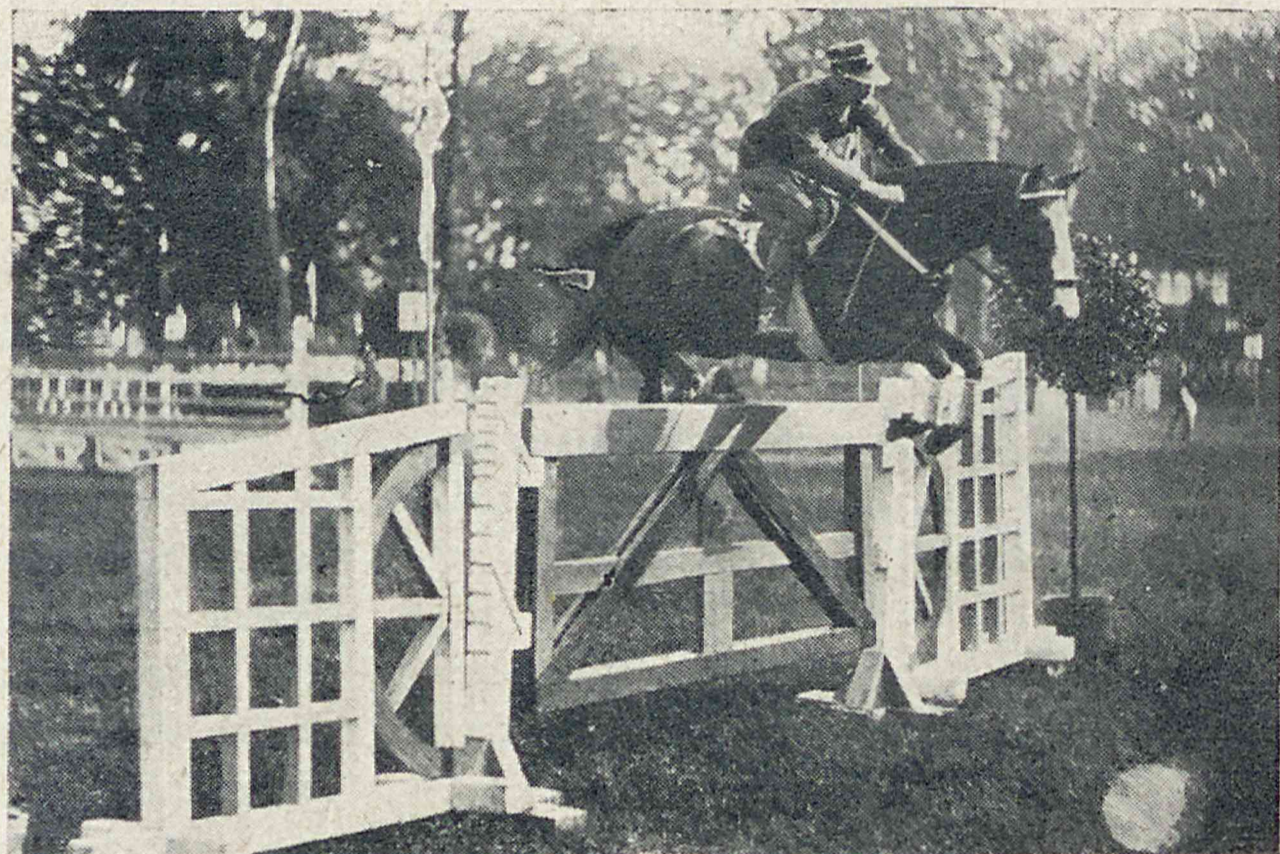
Ale do rzeczy. Tak czy owak żegnani — ruszyli narazie na Jasny Brzeg. Drużynę, — ośmielam się użyć tego dziwoląga, mimo że wytworne sfery jeździeckie posługują się czysto polskiem słowem „ekipa", wymawianem z pięknym akcentem „paryskim"—prowadzi jeden z najbardziej zasłużonych w hippice oficerów — mjr. Michał Antoniewicz, szef eliwitacji Centrum Wyszkolenia Kawalerji w Grudziądzu. Zespół składa się z trzech rutynowanych kawalerzystów, dobrze znających hippodromy Nicei i Rzymu, rtm. Szoslanda, kpt. Rucińskiego i rtm. Kuleszy oraz por. Pohoreckiego, który oglądać będzie Promenade des Anglais po raz pierwszy.

Wyścigi w Auteuil



Por. Pohorecki jest wielkim talentem jeździeckim młodszego pokolenia. Zdobył on mistrzostwo jeździeckie Polski w roku ubiegłym, osiągając jednocześnie największą ilość zwycięstw w tymże roku oraz najlepsze wyniki indywidualne na konkursach w Nicei i Rzymie. Jego start w Nicei — to wielka próba ogniowa, która mu przyniesie bądź złote ostrogi, bądź... rozczarowanie przyjaciół i przełożonych.

A teraz słów kilka o koniach, temacie, o którym mówi się mało i niechętnie. Rtm. Szosland jeździć będzie na swym rutynowanym „staruszku" Alli'm, klasowej Donese i starej Madzi, kpt. Ruciński zabrał swą wierną, wypróbowaną parę Rolisanę i Reszkę, która go „wyniosła", — przy jego pracy i umiejętnościach oczywiście — na czoło polskiego jeździectwa (koń rezerwowy — Niespodzianka), rtm. Kulesza startować będzie na świetnym Milordzie — spuściźnie po mjr. Królikiewiczu, niezwykle wytrzymałej kl. Nida i młodej debjutantce zagranicznej — Wróżce. Por. Pohorecki wreszcie zabiera klasową „węgierkę" — Orlicę, równego,

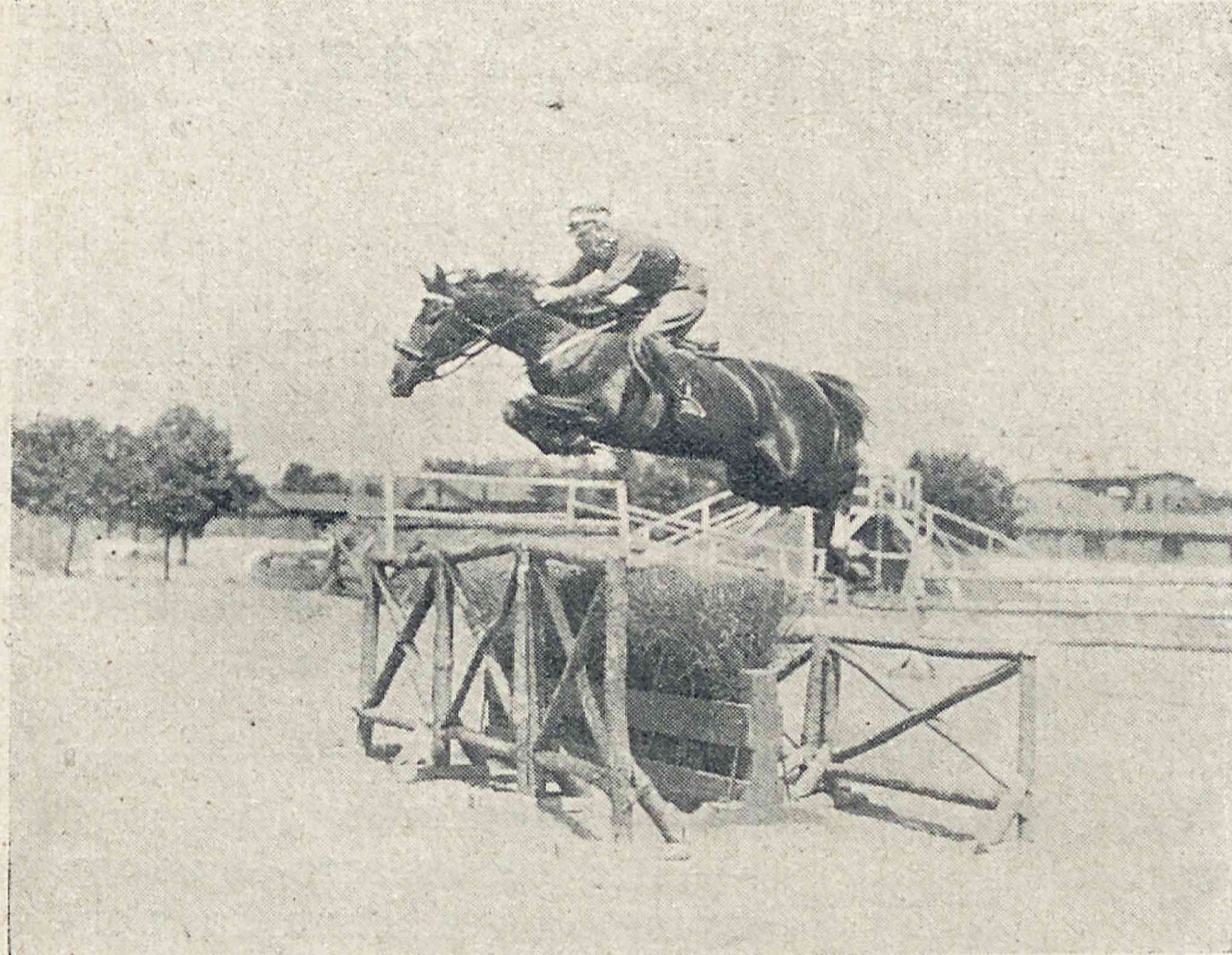


Kpt. Ruciński na Roksanie

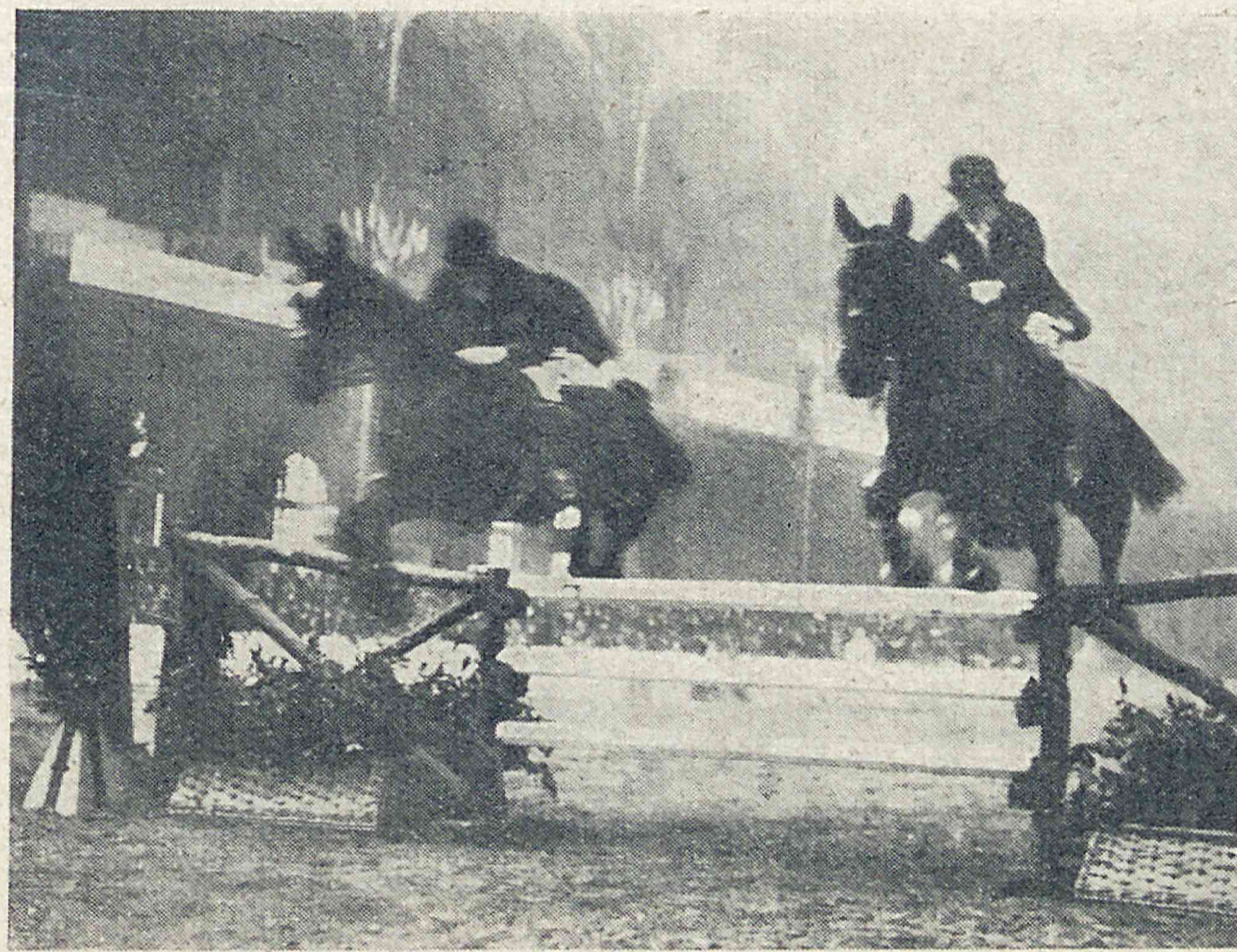
rutynowanego Olafa, który tyle sukcesów przysporzył swemu panu w r. ub., oraz ambitnego Regenta, jako rezerwę (na Rzym).

Jedno jeszcze można i trzeba powiedzieć: konie w r. b. były wyjątkowo troskliwie i zdawna przygotowywane, gdyż wyjazd do Nicei był przewidywany już w jesieni roku ubiegłego. Selekcja była przeprowadzona bardzo starannie, tak, że należy przypuszczać, iż na Jasny Brzeg poszły naprawdę konie najlepsze, jakiemi jeździectwo polskie w chwili bieżącej dysponuje. Duże znaczenie posiada również fakt, że dzięki łagodnej, małośnieżnej zimie tegorocznej, konie wyjątkowo wcześnie wyszły z krytych ujeżdżalni na pracę na otwartem, co powinno im zapewnić dobrą i trwałą formę.

W najlepszej formie przed wyjazdem znajdowały się dwa najbardziej klasowe konie: Donese (imp. z Anglji) i Orlica (imp. z Węgier). I na nie właśnie — podobnie jak na Milorda i Alli'ego, konie



Rotm. Szosland na Alim



Konkurs hippiczny w Paryżu — jazda par

rutynowane, o wielkim zapasie sił — liczy się najwięcej w wyprawie tegorocznej.

* * *

W roku ubiegłym startowało w Nicei 33 jeźdźców i około 100 koni 8-miu narodowości: Belgowie, Hiszpanie, Francuzi, Irlandczycy, Polacy, Portugalczycy, Szwajcarzy i Włosi.

Według ostatnich wiadomości nadeszłych z Nicei, konkurencja w r. b. będzie jeszcze silniejsza, mimo że udział w konkursach weźmie tylko 7, a najwyżej 8 państw. Do chwili obecnej zgłosiły się Niemcy, Hiszpanie, Włosi, Polacy, Portugalczycy, Szwajcarzy i Francuzi. Możliwy, ale niepewny jest udział Holendrów.

W stosunku do roku ubiegłego zabraknie więc Belgów, którzy nie wezmą udziału w konkursach z powodu żałoby po śmierci króla Alberta, oraz Irlandczyków — zrażonych niepowodzeniami w zimowych konkursach berlińskich (w lutym). Przybywają natomiast Niemcy, konkurent, który od dwuch — trzech lat gra pierwsze skrzypce w koncercie hippicznym świata.

Udział Niemców jest tem większem „niebezpieczeństwem", że jak słychać tegoroczne parcours'y w Nicei mają być znowu kręte, z przeszkodami łatwiejszemi, niż w latach ostatnich, kiedy to stawiano kilka potężnych „wagonów" na parcoursach prostych, niewymagających sztuki jeździeckiej i opanowania wierzchowca, ale tylko potęgi skoku i szybkości od konia.

Okoliczność ta zresztą znakomicie zwiększa szanse polskich jeźdźców, dysponujących końmi mniej szybkiemi i o mniejszej potędze skoku, ale zato znakomicie ujeżdżonemi, „wybalansowanemi" i prowadzonemi dłońmi doprawdy mistrzów w sztuce jeździeckiej.

Z tej zasadniczej i ważnej zmiany w ustawianiu parcours'ów w Nicei cieszyć się będą poza Niemcami i Polakami także i Włosi, dysponujący doskonałymi kawalerzystami, a nieco słabszym materjałem końskim od Francuzów, Hiszpanów i Portugalczyków. Próba sił zapowiada się więc bardzo ciekawie, liczyć się jednak trzeba z pewną przewagą Niemców, ale i Polacy nie tracą nadziei.

Wszystkie siedem wyżej wymienionych narodów (nie licząc Holandji) zgłosiły już definitywnie swój udział (każdy zespół zgłosił 5 oficerów i 12 koni). Drużyny znajdują się w drodze lub na miejscu.

Niemcy, którzy w wypadkach „wielkiej reprezentacji" nie lubią się liczyć z kosztami, wysłali zespół 8-miu oficerów i 24 koni. Połowa tej grupy będzie jeździć, a połowa patrzeć i czekać na konkursy w Rzymie (28.IV. — 6.V.) i Florencji (12 — 20 maja).

Będzie to pierwszy start oficerów niemieckich w uniformach na ziemi francuskiej od roku 1871 — a więc po 62 latach. Niekrótki okres czasu. Drugą „nowalijkę" tego rodzaju przeżyjemy w czerwcu r. b. w Warszawie, kiedy na tle ciemnej zieleni hippodromu łazienkowskiego będziemy śledzić jasno-szare mundury oficerów niemieckich.



Konkursy w Nicei

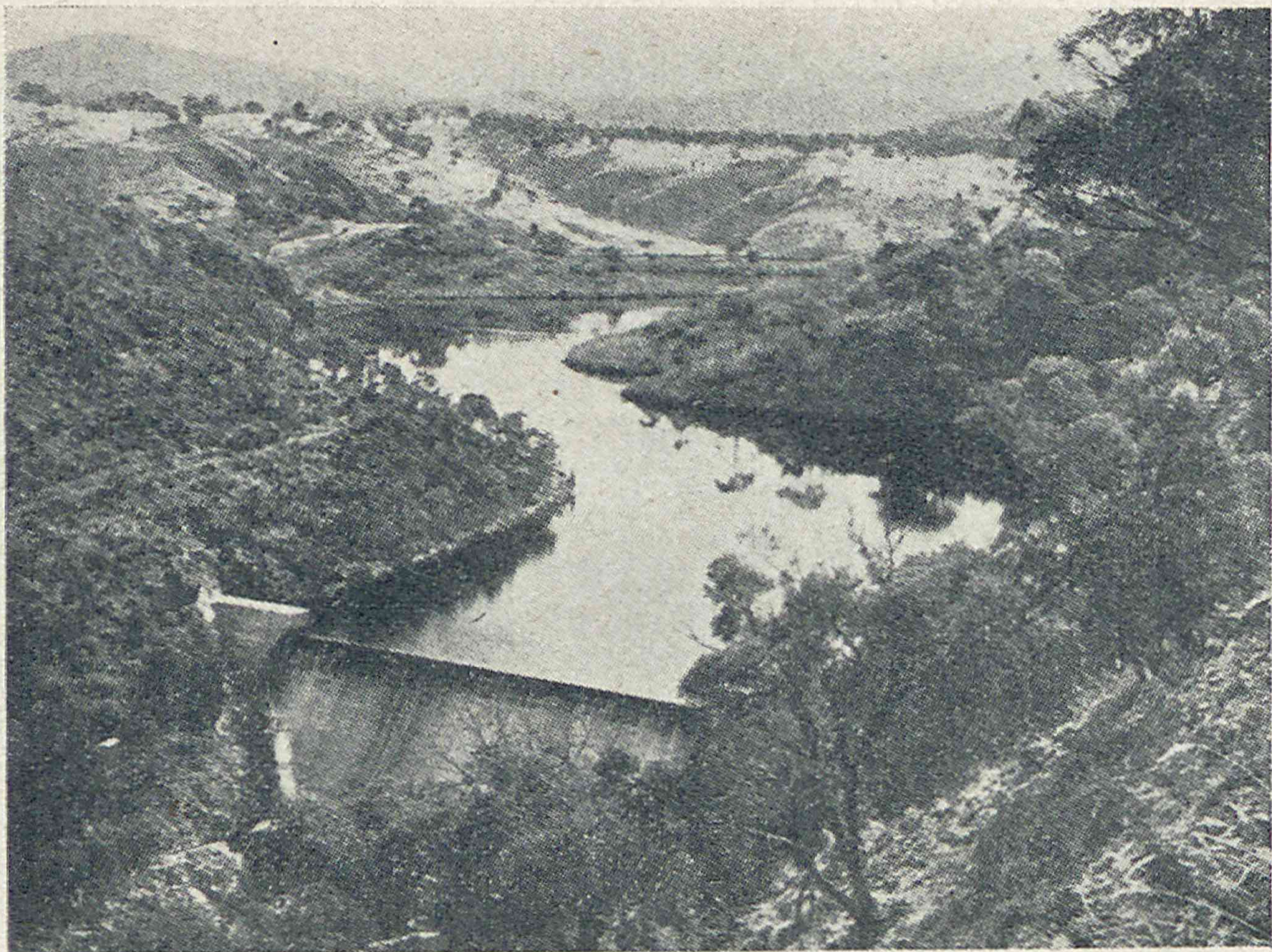
PROPAGANDA POLSKIEJ MODY

Nareszcie została stworzona zapowiadana oddawna placówka modelu polskiego, sukni, kostjumu teatralnego i kinematograficznego, pod kierownictwem znanych artystów malarzy. Placówka ta ma na celu konkurencję modelu polskiego z zagranicznym i zastosowanie materjałów krajowych, dla umożliwienia stworzenia typu sukni dostępnego w cenie dla ogółu inteligencji. Wytwarzanie zaś sukien bez sprowadzania modeli pod ogólnym kierunkiem Paryża, jako metropolji mody, lecz podług rysunków artystów malarzy, z zastosowaniem materjałów krajowych, powstrzyma znaczny odpływ gotówki zagranicę.

Przystosowanie motywów polskich w najwykwintniejszej modzie przyczyni się do rozwinięcia produkcji nieznanych dotąd szerszemu ogółowi pięknych motywów dekoracyjnych w haftach i koronkach. Inicjatywa, organizacja handlowa i piecza nad artystycznem wykonaniem modelu spoczywa w rękach pani A. Elektorowiczowej, znanej z wielkiego daru organizacyjnego, co wróży pewny rozwój tak potrzebnej placówce. *J. W.*

W stolicy Australji

(Koresp. własna)



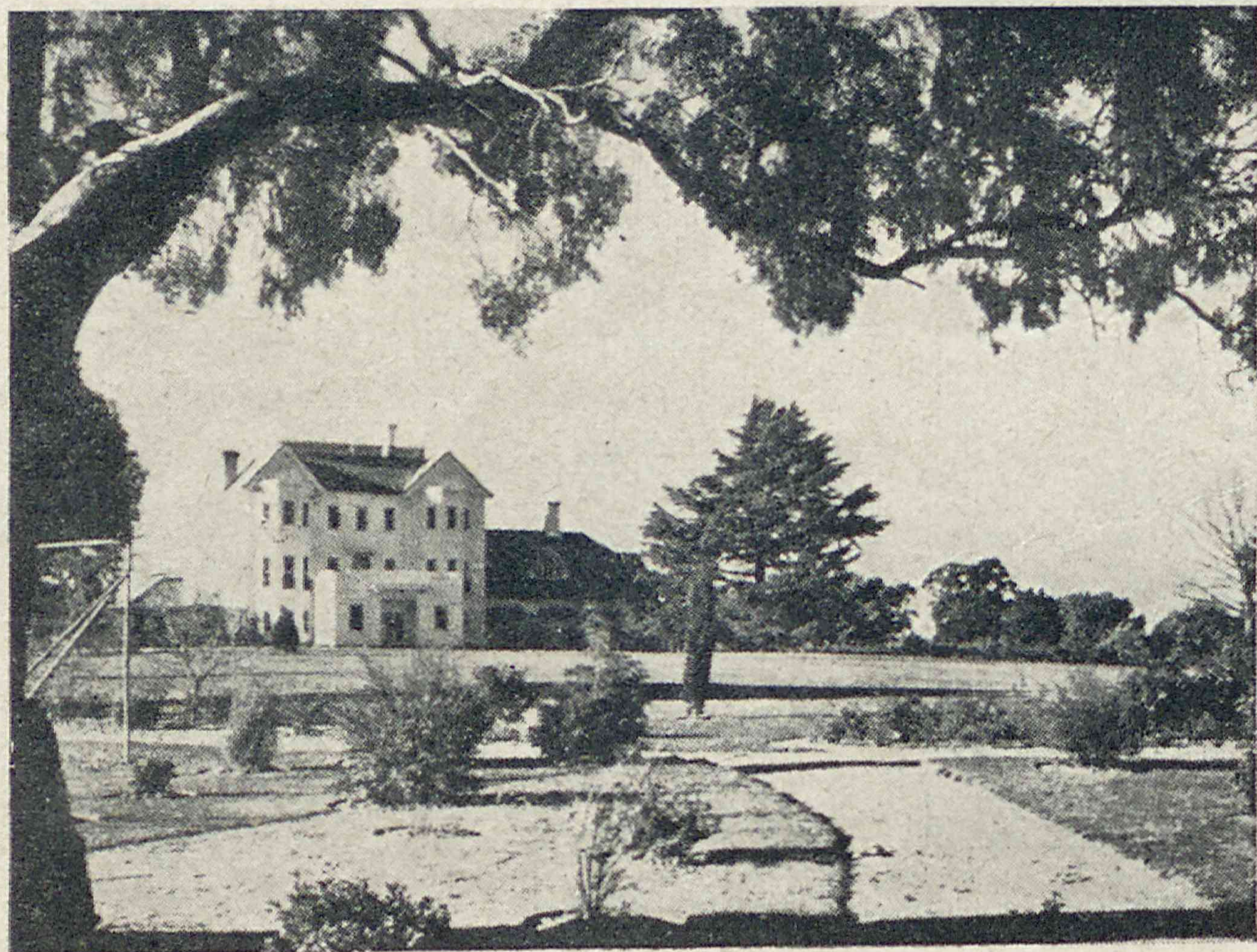
Okolice Canberry. Rzeka Molonglo

Już na odjezdnem z Australji przypomniało mi się ni stąd ni zowąd, że będąc raz w Rzymie nie widziałem Papieża. I tak jakoś drogą dedukcji myślowej zorjentowałem się, że przecież mam zamiar opuścić kontynent Australji, może na zawsze, a nie poznałem jej stolicy. Znam Melbourne, znam Sydney, wielkie metropolje, a nie znam stolicy — Canberry.

Co za śliczna nazwa! Ale kto o niej wie? Jeszcze przed wyjazdem moim do Australji przekonałem się wielokrotnie, że wśród moich współobywateli bardzo nawet obyci ze światem nie mieli pojęcia o tem, że stolicą Australji nie jest ani Sydney, ani Melbourne lecz Canberra.

Nie było coprawda jeszcze czasu nauczyć się tego. O istnieniu Australji wogóle dowiedzieli się dopiero nasi dziadkowie, na początku XIX-go wieku, albowiem pierwszy biały człowiek wylądował na tych naszych antypodach zaledwie 140 lat temu. Był nim kapitan angielski Artur Phillip, który był istotnym Filipem z Konopi, albowiem wyrwał się z odkryciem nowego kontynentu wówczas, kiedy świat cały był przekonany, że wszystkie już dawno są odkryte.

Canberra. Fragment młodego parku



Był początek stycznia, upały takie, że asfalt topniał, gdy siadałem do pociągu z peronu Nr. 2, przy którym stała tablica — Canberra.

W wagonie niewiele osób. Ale wkrótce zebrała się koło mnie grupka pań i panów. Bo Australijczycy, choć tworzą prawdziwą drugą Anglję, dbając szalenie o wyłączność rasową swego kraju tak, że nie dopuszczają żadnej imigracji oprócz angielskiej, a kolorowym wogóle tu lądować nie wolno, bardzo jednak chętnie widzą gości z dalekich lądów. Nic dziwnego. Żyją tak daleko od głównej sceny, na której rozgrywa się komedja i tragedja ludzka, że wbrew charakterowi angielskiemu są niezmiernie gościnni i radzi porozmawiać z obcym.

Jakaś panienka z zadartym noskiem zapytuje mnie, jakiej jestem narodowości, bo oczywiście czuje we mnie cudzoziemca.

— Japończyk jestem, droga pani.

Część towarzystwa roześmiała się głośno, ale było parę osób tak naiwnych, a wśród nich i panienka z zadartym noskiem, że w pierwszej chwili nie zorjentowały się w kolosalnej bladze i patrzyły na mnie z przerażeniem.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Australijczycy dlatego są najwierniejszymi wspólnikami Brytyjskiego Imperjum, że panicznie boją się inwazji Japonji, zezującej pożądliwie w stronę tej blizkiej sąsiadki, ogromnej jak Stany Zjednoczone razem z Alaską, a gdzie dobrych kilka miljonów nadwyżki ludnościowej wiecznie trzęsących się wysp Nipponu znalećby mogło solidne podstawy egzystencji.

— Nie jestem japończykiem, ale zaraz zobaczymy, czy też pani zna historję powszechną.

— Nie rozumiem — odpowiada panienka z zadartym noskiem.

— Należę do tego narodu, z którego wyszedł człowiek, uwieczniony u was nazwą najwyższej waszej góry.

— Koziosko Mount.

— Tak. Kościuszko Mount.

— O, yes, to pan jest z Europy.

Musiałem jej opowiedzieć od początku, że w roku 1796-ym a więc w rok po wiekopomnym choć nieudanym czynie Kościuszki, który wprawdzie był Europejczykiem a nawet Amerykaninem, ale przedewszystkiem Polakiem, w Kiekrzu, w Wielkopolsce, urodziło się dziecko płci męskiej, późniejszy Paweł Edmund Strzelecki, geolog i podróżnik, który zwiedziwszy w celach naukowych cały prawie świat, przybył w roku 1838 do Australji, w następnym już roku odkrył złoża rudy złotej w okręgu Bathurst, a 15 lutego 1840 roku odkrył najwyższy szczyt Alp Australijskich, który nazwał górą Kościuszki.

Okazały i czerwony jegomość, wyglądający na właściciela stu tysięcy baranów, słuchał uważnie, co mówiłem do panienki, uśmiechając się bardzo pobłażliwie.

— Strasznie dawno to wszystko się działo, dla nas to czasy przedhistoryczne. „Commonwealth of Australia" (tak się nazywa ich państwo) istnieje dopiero od roku 1901-ego. A poco pan jedzie do Canberry?

— Bo to podobno jest wasza stolica.

To „podobno" zrobiło wrażenie. Rasa anglosaska ma poczucie humoru. Ryknęli śmiechem.

Z końca wagonu wstał chudy pan, wyglądający na urzędnika archiwum państwowego i zbliżył się do naszej grupki dość ostentacyjnie.

— Pan nas pouczał, kto odkrył szczyt naszych Alp, to ja pana pouczę, że nasze „Wspólne Dobro Australji" nie jest takim starym

gratem, jak wasze państwa europejskie.

Pociąg szedł lekko w górę, bo wydostawaliśmy się na płaskowzgórze, na jakieś 700 metrów nad poziom morza, a chudy pan objaśniał mnie, że wstyd jest, że taki na pozór kulturalny człowiek, jak ja, nie miał czasu nauczyć się tak krótkiej historji, jaką ma dawna kolonja angielska a obecnie związkowe państwo Wielkiej Brytanji, którego król mieszka wypadkiem w Londynie.

W pokorze ducha wyznałem, że coś nie coś i ja wiedziałem, ale nie wszystko. Nadewszystko wyraziłem zdziwienie, dlaczego stolicą nie jest tak wielkie i piękne miasto, jak Melbourne lub Sydney, lecz jakaś Canberra, której w Europie nie mogłem znaleźć na żadnej mapie.

— A bo widzi pan, to było tak: wszystkiemu winna śmieszna zazdrość. Gdy różne kolonje angielskie na tym kontynencie połączyły się w jedno państwo, zastanawiano się, które z wielkich już istniejących miast zrobić wspólną oficjalną stolicą państwa. Ponieważ nasz duch równości sprzeciwiał się przywilejom, więc postanowiono wyodrębnić maleńkie terytorjum i na niem zbudować stolicę ad hoc, od fundamentów, w pustce, miasto nie związane z żadną prowincją ani z żadną przeszłością.

Malownicza okolica o niezmiernie bujnej roślinności odrywa wciąż moją uwagę od słów zapalonego patrjoty australijskiego, który klapnął mnie w kolano:

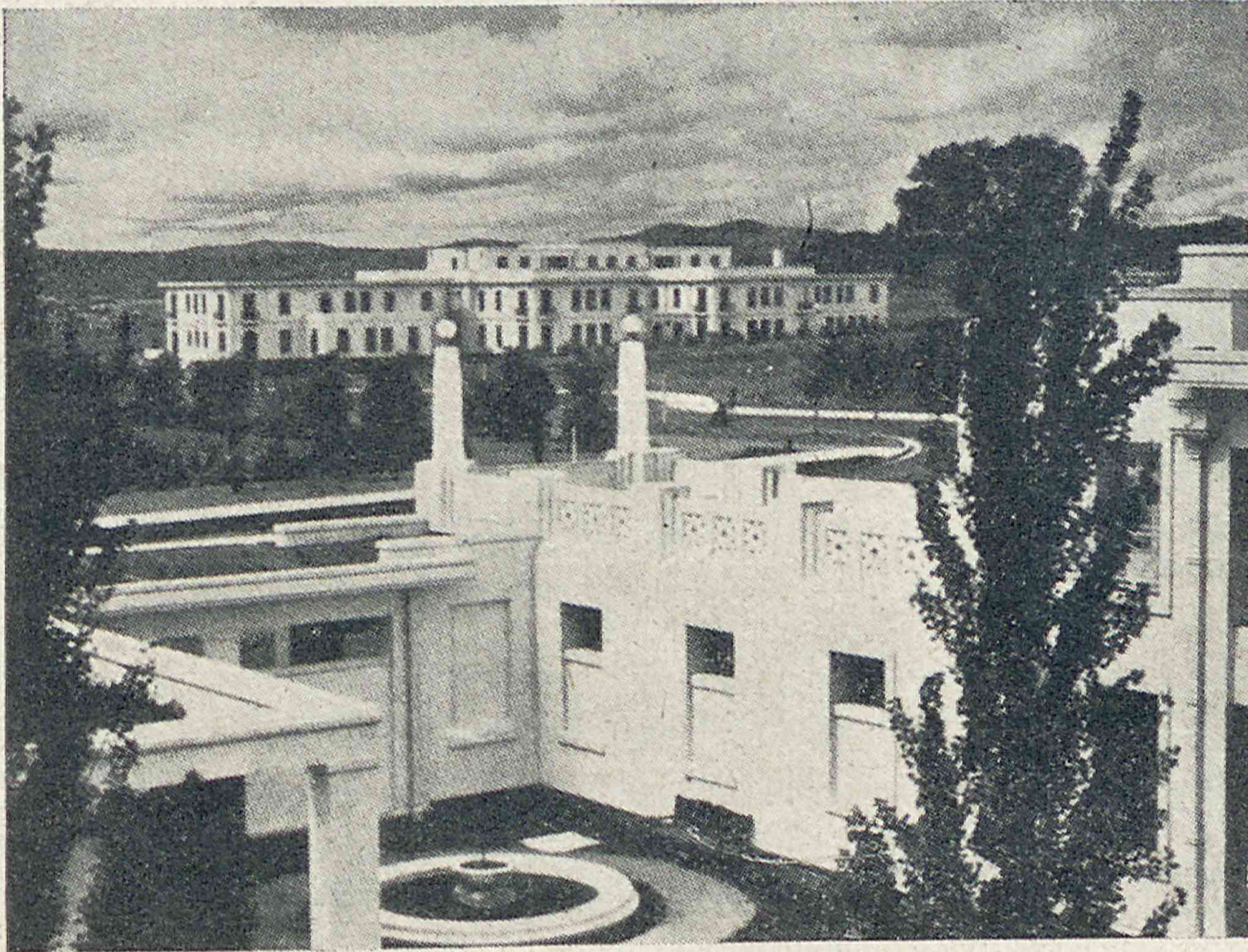
— Nie ma pan pojęcia, jak długo trwało przygotowanie planu takiego nowego zupełnie miasta, które miało się stać modelem miast nowożytnych wogóle. A potem budowano i budowano, ale oprócz robotników nikt tam jeszcze nie rezydował. Robotnicy i inżynierowie. Aż dopiero w 1927-ym roku wszystko było gotowe na ostatni guzik! Miasto, stolica, pan rozumie... Pałace, domy, magazyny, elektryczność, gaz, wodociągi, asfalty, parlament, urzędy, szkoły, szpitale, parki, i dopiero jak już wszystko funkcjonowało, jak w doskonałym hotelu, wówczas nastąpiła inauguracja uroczysta stolicy.

— To dla mnie nic nowego, proszę pana, bo myśmy tak samo zrobili z Gdynią. Dziesięć lat temu nic nie było, a teraz jest wszystko, miasto, port, życie, wielki handel.

Ale gdy wysiadłem z wagonu na stacji Canberra, a wziąwszy samochód objechałem miasto, to spożywając potem obiad w bardzo komfortowym hotelu, z pewną dozą melancholji stwierdziłem, że jednak ta najmłodsza stolica w świecie, licząca zaledwie 10.000 mieszkańców, może istotnie służyć za wzór planowego, logicznego, celowego, ekonomicznego, komfortowego i estetycznego rozwiązania problemów urbanistyki.

Canberra. Typowy dom jednorodzinny

Australijczycy, oczywiście biali, anglicy, których ogółem mieszka na tutejszym kontynencie raptem 4 miljony, mogą być dumni ze swego dzieła, tak jest istotnie wykończone w każdym szczególe, co dopiero daje dobrą opinję o solidności wykonawców, co prawda — to i o ich zamożności także. Australijczycy tuziemcy, których pozostało zaledwie jakieś sto tysięcy, absolutnie nie interesują się niezrozumiałym dla nich wyczynem białych djabłów i nic o niem nie wiedzą, są bowiem najdzikszem, najprymitywniejszem plemieniem ludojadów, niezupełnie zasługującem na miano człowieka.



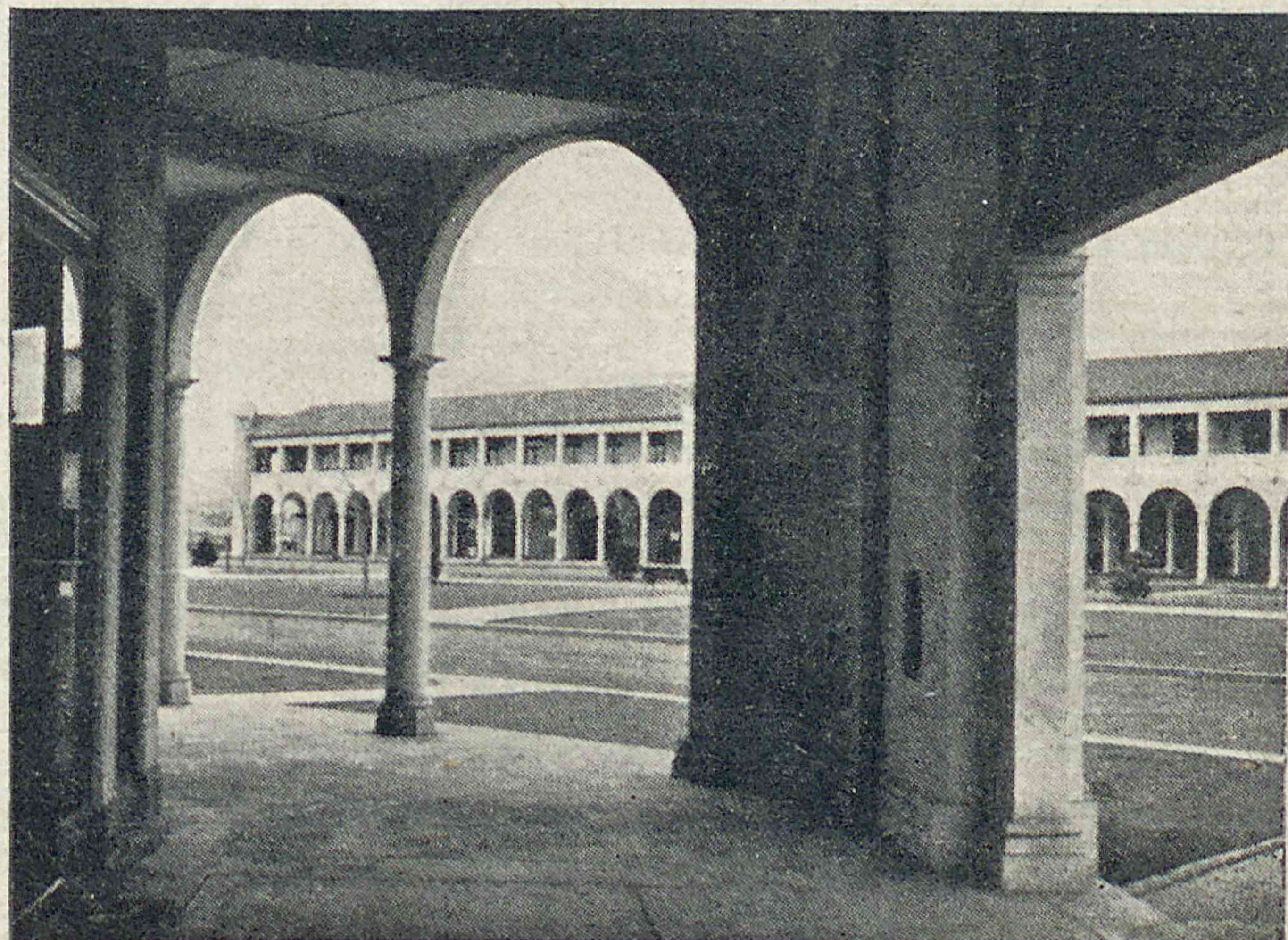
Canberra. Pałac rządowy i poczta

W herbie Australji — na tle motywu roślinnego — widnieje Kangur i Emu (wielki ptak, rodzaj strusia), dwa najcharakterystyczniejsze stworzenia tamtejsze, podniesione do godności godła narodowego. Co ma oznaczać Emu, nikt mi nie umiał dokumentnie wytłumaczyć, ale Kangur symbolizuje doskonale Australję: jego potężne skoki odpowiadają szybkim postępom tego kraju, a worek na brzuchu tego spokojnego zwierzaka odpowiada czułej opiece, jaką rząd australijski otacza swych obywateli, oraz jego pokojowemu usposobieniu.

Przykład Gdyni, Canberry, albo Ottawy, także stolicy od hoc budowanej, nasuwa myśl, czy nie celowiej jest budować miasta nowe, niż rozbudowywać stare. Wartoby się nad tem głębiej zastanowić.

Peregrinus.

Canberra. Centrum sklepów



Ś. p. Władysław Nowosielski

Dnia 26 marca b. r. zmarł w Warszawie Dyrektor Kolei Państwowych w Poznaniu, ś. p. Władysław Nowosielski.

Ś. p. dyr. Nowosielski należał do grona ludzi, którzy swe życie i siły oddali na usługi Ojczyźnie. Od lat przedwojennych, gdy uczestniczył w pracy niepodległościowej, za którą odznaczony został



Ś. p. Władysław Nowosielski

Medalem Niepodległości, poprzez ochotniczy udział w obronie Lwowa, pracę w Szefostwie Kolei w Sztabie Generalnym w Warszawie i na stanowisku komisarza kolejowego w Brześciu, trwała nieprzerwana służba ś. p. dyr. Nowosielskiego dla sprawy niepodległości i jej ugruntowania. W 1923 r. ś. p. dyr. Nowosielski przechodzi z wojska do Ministerstwa Komunikacji, gdzie jest kolejno inspektorem Głównej Inspekcji Kom., naczelnikiem Wydziału Osobowego i zastępcą dyrektora Biura Personalnego.

Jednocześnie ś. p. dyr. Nowosielski bierze nader czynny udział w pracy społecznej, przedewszystkiem w Kolejowem Przysposobieniu Wojskowem. Całą duszą oddaje się pracy nad ugruntowaniem niepodległości Państwa Polskiego przez przygotowanie obywateli do obrony kraju. Od chwili założenia Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, jest jednym z najczynniejszych członków władz naczelnych tej Organizacji, a ostatnio Prezesem Głównej Komisji Rewizyjnej K. P. W., poświęcając sprawom K. P. W. wiele czasu i trudów, za które Organizacja nagrodziła Go swą „Złotą odznaką zasługi".

Przedwczesny zgon ś. p. dyr. Nowosielskiego okrył żałobą Kolejowe Przysposobienie Wojskowe, które widziało w Nim jednego z najlepszych swych członków. Społeczeństwo i kolejnictwo straciło w Zmarłym człowieka, będącego pod każdym względem wzorem dobrego obywatela. Pamięć o Nim i Jego zasługach zawsze żywą będzie wśród tych, którzy mieli sposobność znać Go i z Nim współdziałać na terenie pracy zawodowej i społecznej.

Pamięci ś. p. Adama Skwarczyńskiego

W ubiegłym tygodniu z pośród zastępów dawnych bojowników o Niepodległość odszedł ś. p. Adam Skwarczyński.

Ś. p. Adam Skwarczyński był nietylko bojownikiem, organizatorem, wytrwałym niezmordowanym pracownikiem. Był on w całem tego słowa znaczeniu człowiekiem sztandarowym. Był on wcieleniem idei, był ideowcem najwyższego typu. Członek Związku Walki Czynnej, członek przedwojennego Związku strzeleckiego, oficer I Brygady Legjonów i P. O. W., członek założyciel i członek zasłużony Z. S. w Polsce Odrodzonej, swój „Stan wiernej służby" ś. p. Adam Skwarczyński zapisał zgłoskami pełnemi chwały. Wysokie poczucie honoru i odpowiedzialności łączyło się w nim z niezwykłą ofiarnością i bezinteresownością. W okresie jego pracy publistyczno - propagandowej, jaką prowadził w latach okupacji niemieckiej, ś. p. Adam Skwarczyński miał nietylko wielki dar przekonywania, pociągał on ku sobie tą właśnie szlachetną bezinteresownością i głębią swego przekonania. W rozmowach, dyskusjach, polemikach nie szukał on łatwego efektu zwyciężenia przeciwnika, lecz torował drogę swej ideologji, a każdy krok naprzód na tej umiłowanej Drodze zdawał się rozjaśniać całą jego postać.

W licznych rozmowach, jakie w owych czasach miałem możność prowadzić z ś. p. Adamem Skwarczyńskim, głębokie zawsze wrażenie wywierały te jego walory osobiste. Oddał je wszystkie jak i siebie samego na służbę i ofiarę Wielkiej Idei — pozostał jej i sobie wiernym aż do końca.

Świetlanej pamięci bojownika i pracownika Niepodległości składamy dziś hołd wraz z głębokim żalem wobec straty, jaką społeczeństwo w tej przedwczesnej śmierci poniosło.

L. Ch.

Ś. p. Henryk Garlikowski

Dnia 28 marca b. r. zmarł w Warszawie wybitny działacz społeczny ś. p. Henryk Garlikowski, urodzony 15 grudnia 1869 r. w Kaleni, w powiecie Błońskim.

Henryk Garlikowski, po ukończeniu technicznej szkoły kolejowej, przez dwadzieścia parę lat pracował, jako urzędnik Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Podczas wojny został dyrektorem Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Na tem stanowisku pozostawał od r. 1916 do 1927. W dowód uznania zasług dyrektora Henryka Garlikowskiego — Władze Towarzystwa umieściły jego nazwisko na tablicy pa-



Ś. p. Henryk Garlikowski

miątkowej wmurowanej w holu gmachu C. T. R. Kopernika 30, obok nazwisk ludzi najbardziej zasłużonych dla rozwoju tej instytucji.

Henryk Garlikowski był członkiem Zarządów Muzeum Przemysłu i Rolnictwa oraz Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Cześć pamięci człowieka pełnego zasług i cnót obywatelskich.

KONKURSY P. K. O.

Najpopularniejsza instytucja w Polsce — mowa o P. K. O. — poza sprężystą działalnością na polu finansowem prowadzi żywą akcję propagandową przez szereg konkursów mających i cele kulturalne na widoku.

Niedawno zakończony konkurs na plakaty P. K. O. wzbudził żywe zainteresowanie tłumnie głosującej publiczności. Ogłoszony obecnie konkurs na projekt gmachu jednej z filji P. K. O. poruszył zastępy architektów polskich. W ciszy pracowni dojrzewają projekty konkursowe, które niebawem ujrzymy wystawione na widok publiczny.

W następnym numerze „Świata“ podamy listę prenumeratorów, którzy uzyskali ofiarowane przez nas premja

ŚWIAT FILMU

„KOCHA... LUBI... SZANUJE...“ W KINIE ŚWIATOWID

Pierwsza próba współpracy zagranicznego kapitału przy produkcji polskich filmów przyniosła nam film p. t. „Kocha... Lubi... Szanuje...“ Scenarjusz Napoleona Sądka, reżyserja M. Waszyńskiego, muzyka H. Warsa, kierownictwo produkcji dyrektor „Uniwersalu“ p. Gojchrach; w rolach głównych Loda Halama i Eug. Bodo.

Próba ze wszech miar udana, film jest wesoły, dobrze opracowany muzycznie, wykonawcy ról większych i mniejszych na wysokości zadania.

Reżyser Waszyński dał może zbyt rozwlekłe tempo, co zrywa chwilami ciągłość akcji i nie wykorzystał szeregu doskonałych pomysłów scenarjusza.

Loda Halama imponowała nam, jako doskonała tancerka, Bodo, jak zwykle, swobodny, z wdziękiem potraktował swą rolę aptekarza-dyrektora teatru, z ról epizodycznych wybił się na pierwszy plan Konrad Tom, współautor tekstów. Wystawa bogata i gustowna. (S. K.)

„CSIBI“ — W KINIE APOLLO

Szczerze zabawna komedja, doskonale odegrana przez cały zespół z Franciszką Gaal w roli tytułowej. Csibi jest to bowiem imię słynnej pieśniarki kabaretu, liczącej... 10 lat — a to dlatego, aby nie utrudniać marjażu nienajmłodszej już mamusi. Na tem tle oparty jest cały scenarjusz, obfitujący w szereg wesołych qui pro quo, gdy naprzykład rzekomy podlotek pije szampana w nocnym kabarecie, a pocałunek oddany swemu przypadkowemu „opiekunowi“ jest jakoś podejrzanie czuły, namiętny. Film, wyprodukowany w Austrji przez amerykańską wytwórnię „Universal“ (na wzór polsko-amerykańskiej komedji: „Kocha, lubi, szanuje...“) mówiony jest w języku niemieckim, a zespół składa się z czołowych sił scen wiedeńskich.

krk

„A. L. 14 ZATONĘŁA“ — W KINIE EUROPA

Bogactwo zdjęć technicznych dominuje nad całym filmem. Sceny w łodzi podwodnej, walka na morzu, zatonięcie wielkich okrętów wojennych przytłaczają swym ogromem — już poza niemi niema miejsca na nic innego. Film, robiony przy współudziale marynarki wojennej U. S. A., w części „wodnej“ nie pozostawia też nic do życzenia, natomiast w części „lądowej“ zrobiony. dosyć skromnie, intryga miłosna, sklecona nieco sztucznie, nie wzruszy widza. Doskonałą kreację aktorską dał Walter Huston, w roli komendanta łodzi podwodnej, para amantów Robert Montgomery i Madge Evans — na wysokości zadania.



Nr. 1

„Piękno i szpetota"

KONKURS

Z NAGRODAMI

DLA CZYTELNIKÓW „ŚWIATA"

Redakcja „Świata" ogłasza Konkurs, który da naszym Czytelnikom możność wykazania znajomości polskich zabytków architektury, oraz sposobność ujawnienia daru spostrzegawczego.

Biorący udział w konkursie odpowiedzieć muszą na pytania:

1. Gdzie znajduje się i co przedstawia budynek z ilustr. 1-ej?
2. Gdzie znajdują się budynki przedstawione na ilustr. 2-ej?

Termin nadsyłania odpowiedzi — do dnia 30 kwietnia r. b.

Za trafną odpowiedź na oba pytania Redakcja „Świata" przeznacza cenne nagrody książkowe:

Nagr. I.—Moljer. Dzieła w 6 tom.

Nagr. II.—Sieroszewski W. „Beniowski i ocean".

Nagr. III.—Tetmajer K. „Legendy Tatr", 2 tomy.

Nagr. IV.—Kaden Bandrowski. „Proch".

W razie nadesłania przez kilka osób odpowiedzi trafnej, decydować będzie o pierwszeństwie data stempla pocztowego.

Odpowiedzi na załączonym Kuponie Konkursowym wypełniać prosimy imiennie, z podaniem szczegółowego adresu osoby biorącej udział w konkursie.

Kupony wypełnione nadsyłać należy adresując: Redakcja „Świata", Warszawa, ul. Szpitalna 12. Konkurs „Piękno i szpetota".

KONKURS

„Piękno i szpetota"

1. Budowla z ilustracji I-ej przedstawia ....

....

i znajduje się w ....

....

2. Budynki z ilustracji II-ej znajdują się w ....

przy ulicy ....

....

Imię i nazwisko:

....

Adres szczegółowy:

....

....

Kupon wyciąć, nakleić na zwykłą pocztówkę i nalepić znaczek za 10 groszy.

Adresować: Redakcja „Świata", Warszawa, Szpitalna 12

Nr. 2



PORADY KOSMETYCZNE

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Halinie K. z Równa. W związku z rozpoczynającym się sezonem sportowym zapytuje pani, czy defekty skóry, jakie zjawiały się u Pani w związku z używaniem kolarstwa, tennisa i innych sportów dadzą się usunąć i jak najlepiej im zapobiec. Radzimy Pani używać stale *Krem sportowy* marki Antiba, który jest lekko przetłuszczonym kremem bezglicerynowym i nadaje się do pielęgnowania twarzy, na dzień jako krem pod puder przy wybitnie wrażliwej, suchej cerze. *Krem sportowy* delikatnie natłuszcza naskórek, prawie nie pozostawiając połysku i zabezpiecza od zbytniego wysuszenia i zaczerwienienia skóry pod wływem wiatru lub słońca. *Krem sportowy* zawiera olejek orzechowy i przez to przyśpiesza równomierne opalenie się. W czasie podróży i przy sportach, krem ten może być stosowany do oczyszczenia skóry z kurzu. W tych wypadkach smaruje się twarz kremem i ściera kawałkiem waty lub serwetką.

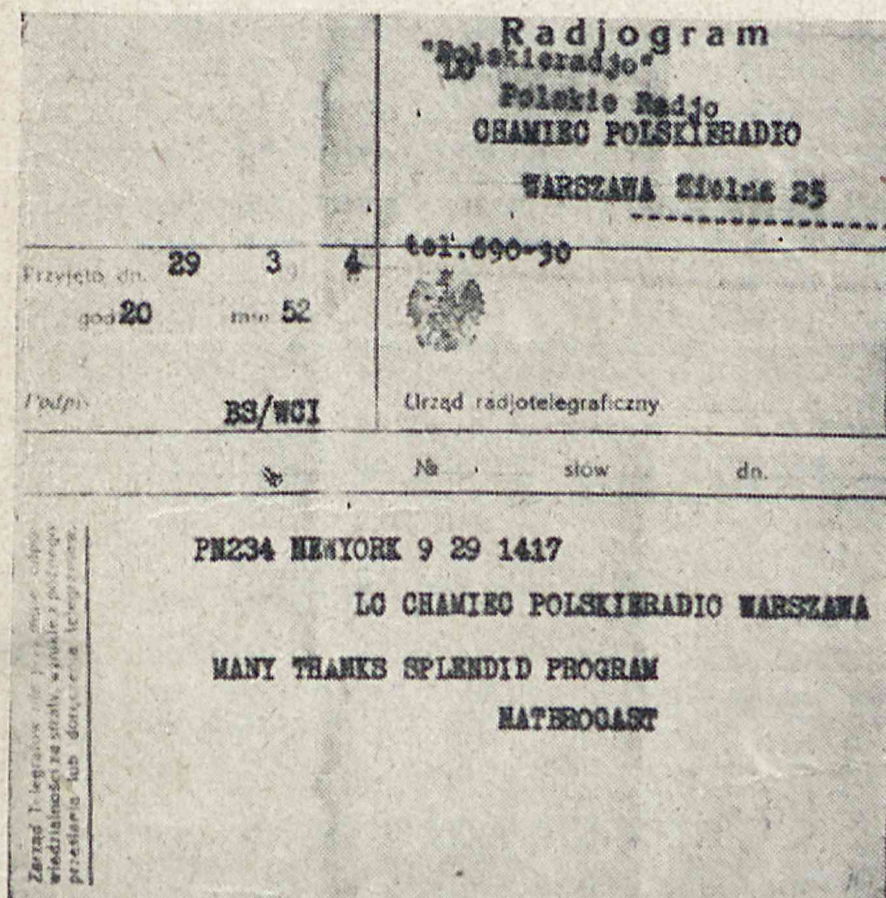
P. Janinie B. z Nałęczowa. O usuwaniu piegów pisaliśmy już kilkakrotnie. Niech Pani zastosuje w ciągu bieżącego lata ze 2—3 razy *krem Blanca* marki Antiba. Nawet uporczywe piegi winny ustąpić.

P. Krystynie J-kiej z N. Sącza. Pod oczami koło uszu i szyji zjawiła się u Pani siateczka zmarszczek. Radzimy zastosować płyn ziołowo-miodowy przeciw zmarszczkom *Extrait Antiride* — Antiba, który w zmacnia i udelikatnia naskórek. Specjalnie nadaje się do pielęgnowania twarzy przy cerach suchych i normalnych. Przy zmarszczkach pod oczami stosować należy w postaci okładów.



Tel-Aviv

Ameryka dziękuje za audycję polską



Radjogram
Polskieradjo
Polskie Radjo
CHAMIEC POLSKIERADIO
WARSZAWA Zielna 25
tel. 690-30

Przyjęto dn. 29 3 4
godz. 20 min. 52
BS/WCI
Urząd radjotelegraficzny

PN234 NEWYORK 9 29 1417
LC CHAMIEC POLSKIERADIO WARSZAWA
MANY THANKS SPLENDID PROGRAM
NATBROCAST

Dn. 27-go marca Ameryka transmitowała Nabożeństwo z Kaplicy Matki Boskiej Na Jasnej Górze. Po transmisji Towarzystwo Radjostacyj Amerykańskich („National Broadcasting Company") wystosowało do Polskiego Radja depeszę następującej treści: „Dziękujemy bardzo. Wspaniały program"

CZARUJĄCA PODRÓŻ

Większość dotychczasowych wycieczek Linji Gdynia — Ameryka skierowana była na Północ i Zachód. Dawała ona możność licznej rzeszy turystów zapoznać się z takiemi ośrodkami cywilizacji i kultury wszechświatowej, jak Paryż i Londyn, z takiemi cudami romantycznego pejzażu, jak fjordy norweskie i jeziora szkockie, wreszcie z miastami o typowo portowej fizjonomji, jak Kopenhaga, Antwerpja, Amsterdam, Oslo i inne.

Dzisiaj, dzięki otwarciu Linji Polsko-Palestyńskiej, dla polskiego turysty otwierają się nowe horyzonty, nowe szlaki podróży egzotycznych, nowe fascynujące możliwości.

Tam na Wschodzie znajduje się kolebka najstarszych cywilizacyj świata, Zachód przejął je i przetworzył, udostępnił i zmodernizował. Ale nie dość jest spożywać owoce cywilizacji, trzeba poznać drzewo, które je zrodziło.

Dzisiaj nie jest to rzeczą trudną ani kosztowną. Całą podróż odbywa się na polskim okręcie transoceanicznym, wśród wyszukanego komfortu, w niekrępującej ale serdecznej atmosferze towarzyskiej, z której chlubnie już są znane statki Linji Gdynia — Ameryka, a co zatem idzie i Linji Polsko-Palestyńskiej. Właściwie podróż morska zaczyna się od Constanzy, rumuńskiego portu nad Morzem Czarnem, dokąd dowożą polskich turystów bezpośrednie pociągi pospieszne.

Bajka z Tysiąca i jednej nocy o latającym dywanie stała się prawdą. Dzięki Linji Polsko-Palestyńskiej, założonej przez Polsko Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe, do którego należy również Linja Gdynia — Ameryka, dziś nie trzeba już być zarodziejem, ani magnatem, żeby zdobyć się na podróż egzotyczną.

CO USŁYSZYMY W RADJO?

„Traviata" — Opera Mascagni'ego — z la Scali Medjolańskiej
dn. 21.IV o godz. 20.57.

Pieśni murzyńskie
dn. 13 IV godz. 16.35

Henryk Stompka
dn. 14.IV godz. 20.00

Koncert utworów Henryka Melcera
dn. 16.IV godz. 20.00

„Mister Plick ratuje sytuację" (Adolf Fleiszer we Lwowie)
dn. 14.IV godz. 21.45

„Grigri" — Operetka Linckego
dn. 17.IV godz. 20.00

„Rewizor" — Gogola w Teatrze Wyobraźni
dn. 15.IV godz. 18.00

200 miljardów złotych za życie arcyksięcia

W pewnym almanachu angielskim zamieszczono bardzo ciekawe, lecz zarazem straszne obliczenie, ile ludzkość zapłaciła za życie arcyksięcia Ferdynanda, zamordowanego w Serajewie w r. 1914.

Nie licząc przeszło 36 miljonów zabitych, rannych i niezdolnych do pracy, koszt samej wojny i strat przez nią spowodowanych wyniósł 69.536.253.016 funtów, czyli około *200 miljardów złotych.*

W almanachu jednak nie spróbowano obliczyć, jaką wartość przedstawia niepodległość narodów, które dzięki wojnie odzyskały prawo do życia i możność stanowienia o sobie.

I. P. P.

— to skrót nazwy istniejącej od lat 15-tu w Warszawie, ul. Bracka Nr. 5, ajencji: „Informacja Prasowa Polska", która rozwija bardzo pożyteczną działalność udzielania specjalnych wiadomości z prasy polskiej i zagranicznej z gazet — w wycinkach.

Nikt bowiem nie jest w stanie przeczytać codziennie w części nawet pism codziennych; każdy czyta tylko jedną ulubioną swoją gazetę, ale każdy równocześnie wiedzieć pragnie, co piszą o nim, lub o interesującym go przedmiocie w całej prasie.

Zagranicą bez tego rodzaju instytucji nie mógłby się obejść nawet przez dzień jeden żaden publicysta, mąż stanu, przemysłowiec, dyplomata, profesor, czy fabrykant, bankowiec, czy też powieściopisarz lub artysta dramatyczny.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
„ II „ 600.—, ½ 300, ¼ 150.—, ⅛ 75
„ III „ 450.—, ½ 225, ¼ 112.50
„ IV „ 600.—, ½ 300,
Za tekstem . . . . . Zł. 600, ½ 300.—, ¼ 150

Ogł. w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Dział Tam Kupujcie za 1 mil. szerok. jednej szpalty 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . . 3 zł.

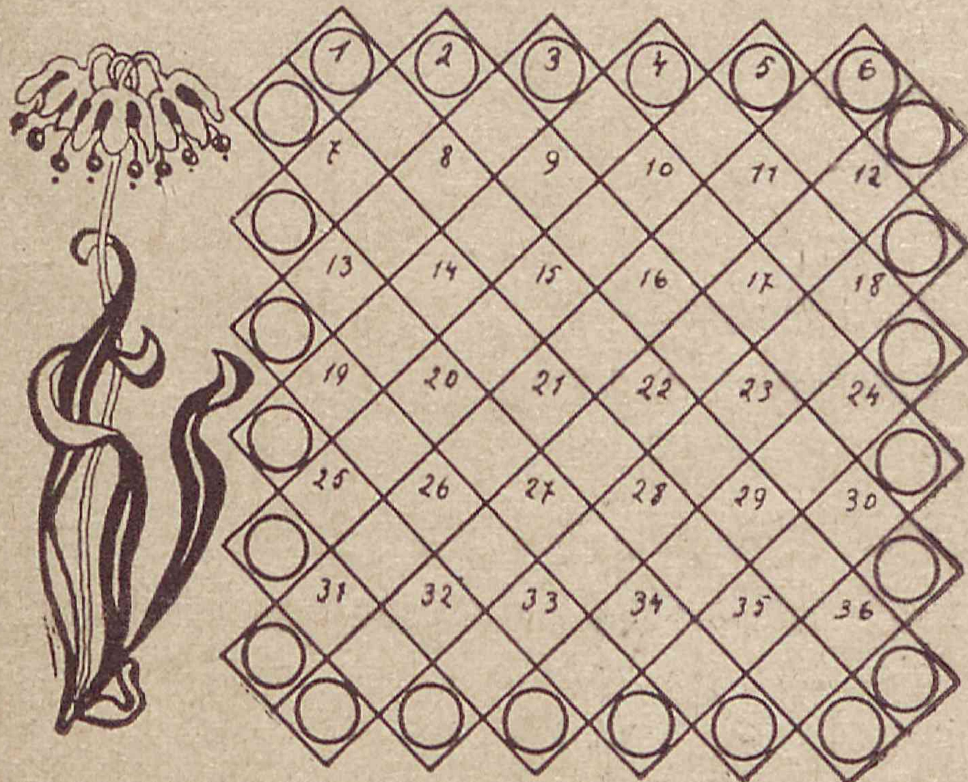
Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 35 (325) WIRÓWKA

Ułożył L. Glaszmidt

(Za rozwiązanie 7 punktów)



W podaną figurę należy wpisać wirowo 36 wyrazów czteroliterowych. Początek w kratkach oznaczonych cyframi. Kierunek do odgadnięcia. Litery na obwodzie wirówki dadzą rozwiązanie.

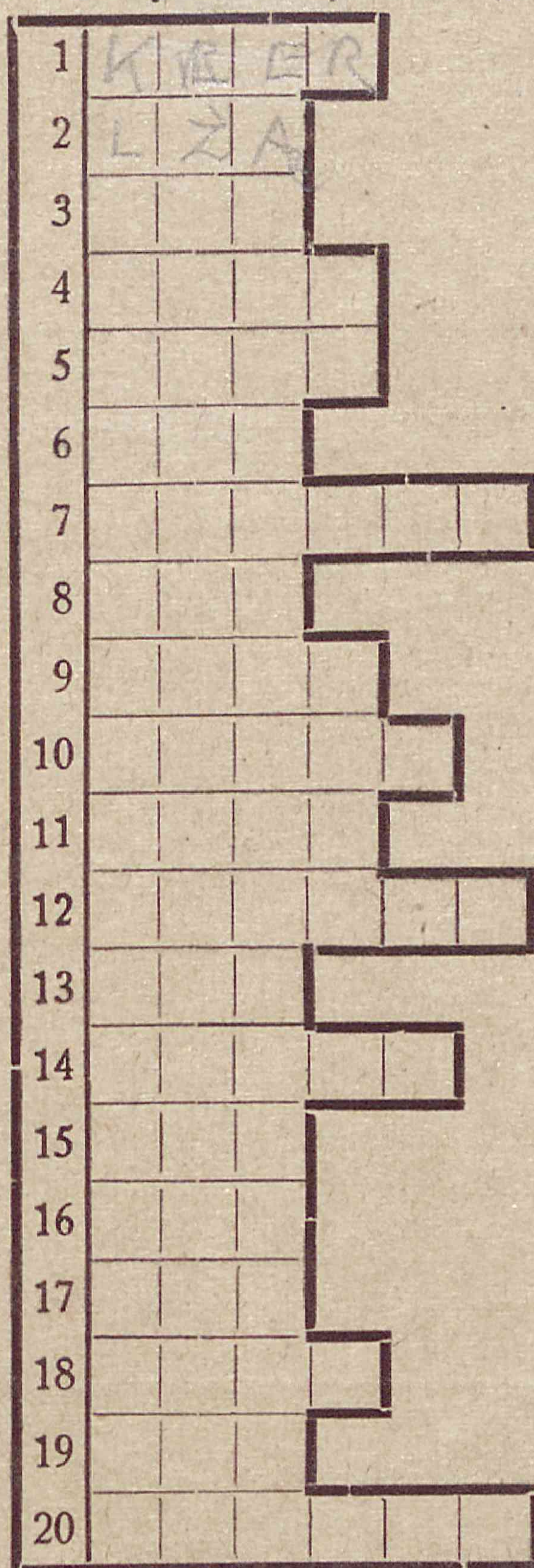
ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Duchowieństwo. 2. Miasto w prowincji Mazanderam (Persja). 3. Żołnierz turecki. 4. Tytuł starożytnych władców Peru. 5. Rękojeść żarn do obracania kamienia. 6. Prawy dopływ rzeki Vilaine. 7. Prawy dopływ Sekwany. 8. Tytuł duchowny. 9. „Droga" w obc. jęz. 10. Okres geologiczny. 11. Horda. 12. Roślina. 13. Rżnij, przecinaj! 14. Twórca sekty karaitów. 15. Raj. 16. Imię męskie. 17. Środek lokomocji. 18. Uszkodzenie. 19. Pokój. 20. Pierw. chem. 21. Związek chemiczny. 22. Bóstwo staroż. 23. Halucynacja. 24. Miasto w stanie Hidalgo (Meksyk). 25. Pierw. chem. 26. Lekka mgła. 27. Rodzaj utworu literackiego. 28. „Ciężar" w obc. jęz. 29. Szczyt w Pirenejach zach. 30. Miasto w prow. Caserta (Włochy). 31. Chwast pospolity. 32. Miasto w Piemoncie. 33. Miasto w prow. Agra-Oudh (Indje bryt.). 34. Urwisko. 35. Nasienie ryby. 36. Przekaz.

№ 36 (326) Eliminatka

Ułożył Jędrzej Wesołek

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W daną figurę należy wpisać 20 wyrazów poziomych o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), mającego to samo znaczenie, co „jedzą chciwie, pożerają". Pozostałe litery, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Zgiełk, hałas. 2. Kłamią. 3. Bębenek z dzwonkami. 4. Chciwie, łapczywie jedząc. 5. Rzeka, wpadająca do Dniepru (2 p. l. p.). 6. Jem chciwie. 7. Przeszłość, historja. 8. Pchają, napierają. 9. Działa, czyni. 10. Szczenię lisa. 11. Figura geometryczna. 12. Jak nr. 7. 13. Nazwa pomadki do warg (6 p. l. p.). 14. Płyn. 15. Stopień pokrewieństwa. 16. Pokarm zwierząt. 17. Małżonek. 18. Para (mężczyzn). 19. Istota złego. 20. Jak nr. 7.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

№ 16 (306) REBUSIKI LITEROWE.

1. Nadir (punkt sfery niebieskiej, przeciwny zenitowi). 2. Naib (zastępca Sułtana). 3. Denar. 4. Kanał. 5. Nauta (żeglarz). 6. Denat. 7. Podaż. 8. Podwika.

№ 17 (307) ZADANIE MUZYCZNE

1. Szopski. 2. Koczalski. 3. Walewski. 4. Jarzemski. 5. Gomółka. 6. Czajkowski. 7. Noskowski. 8. Mielczewski. 9. Wertheim. 10. Szymanowski. 11. Żeleński. 12. Grossman. 13. Statkowski. 14. Duniecki. — „Paweł Kochański".

№ 18 (308) METAMORFOZY

1) MĄDRY POLAK PO SZKODZIE.
2) STRACH MA WIELKIE OCZY.
3) CICHA WODA BRZEGI RWIE.

TRAFNE ROZWIĄZANIE ZADAŃ № 16 — 18 (ŁĄCZNA ILOŚĆ 20 PUNKTÓW) NADESŁALI:

N. K. Kozłowski. Stefan Dobrzyński. Romuald Żak. Feliks Kowalski. Dorota Herbstmanówna. Marja Strubel. Kazimierz Lilpop. Fr. Wiśniewski. L. Glaszmidt. Włodzimierz Hoffmann. Zenon Brenek. Zygmunt Tietz. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków). Jan Rudziński (Kalisz). Baśka Żulińska (Częstochowa). Józef Małecki. Władysław Stock (Pińsk). Zofja Suchecka (Radom). Jan Popławski.

ROZWIĄZANIE POSZCZEGÓLNYCH ZADAŃ

Józefa Wolińska (16), Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin) (16, 18), Wiktor Sawicki (16, 18), Jerzy Halski (16, 18), Antonina Solecka (16, 18).

NAGRODY OTRZYMALI:

Tadeusz Ritter (Warszawa) — książkę.
Henryk Walewski (Lwów) — książkę.

„ŚWIAT" **Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.**

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P